

# Antologia SF

## Różni

Książka IX z Stało się jutro



calibre 0.9.43

**Stało się jutro 9**

**Ilia Warszawski — Ściśle według reguł**

**Dymitr Bilenkin — Grupa Laokoona**

**Dymitr Bilenkin — Światło życia**

**Michał Griesznow — Jeszcze jedno martwe miasto**

**Dymitr Bilenkin — Niedotykańska**

**Michał Griesznow — Kwiaty Albarossy**

*Ilia Warszawski—Ściśle według reguł*

**Bugrow otworzył oczy i poczuł strach. Gdzieś w pobliżu kryło się**

**niebezpieczeństwo, ale gdzie, tego już nie wiedział, gdyż w jego umiejscowieniu**

**przeszkadzały zawroty głowy i nudności. Leżał w skafandrze bez hełmu, z nosem**

**utkwionym w żwirze, i bał się podnieść głowę. Pięć lat Kosmicznej Akademii nie**

**poszło na marne. „Jeżeli znajdziesz się w nienormalnej sytuacji, zanim zrobisz**

**pierwszy ruch, spróbuj się wpierw w niej zorientować”. I Bugrow spróbował.**

**Po to, żeby określić, gdzie się człowiek znajduje, niekoniecznie od razu trzeba się ruszać z**

**otaczająca człowieka przestrzeń rozszerzy się trochę. I tak — w dali pasmo wzgórz, a przed**

**lewej strony to samo pasmo, a po prawej miotacz promieni ze zwolnionym**

**bezpiecznikiem. Nic więcej nie widać. Potwornie boli głowa. Gdyby nie ten ból i**

**ostry zapach, którym przesycony jest grunt, o wiele łatwiej byłoby myśleć. Uczucie**

**nieuniknionego niebezpieczeństwa nie mijalo. Bugrow usiłował sobie**

**przypomnieć, w jaki sposób się tu znalazł, ale nie mógł. Dlaczego bezpiecznik**

**miotacza jest zwolniony?—zapytywał sam siebie, ale i na to pytanie nie znajdował**

**odpowiedzi. Dziwne! — pomyślał. — Bardzo dziwne — a myśl ta wywołała istną**

**lawinę nieoczekiwanych skojarzeń. Dziwne planety. Siedem dziwnych planet.**

**Ratunkowy gwiazdolot „Dobrynia Nikiticz”. Tak, tak, tak! Stażysta Bugrow.**

**Siedem dziwnych planet i gwiazdolot „Dobrynia Nikiticz”. Dlaczego dziwne planety? Wszystkie posiadają -atmosferę. Na jednej z nich odkryto mchy i porosty.**

**Sensacja na kosmiczną skalę. Pierwsze odkryte ślady życia. ' Mchy i porosty. To było na pierwszej planecie. Zresztą nie tylko to. Był tam drugi szturman. Teraz leży w izolatce, a lekarz przeprowadza doświadczenia na białych myszach. Dwa**

**pokolenia białych myszy i poszukiwania surowicy. To było na pierwszej planecie. A**

**na drugiej? Na drugiej nikt nie lądował. Nie wolno. Nieruchome ciało w izolatce i**

**dwa pokolenia białych myszy. Statki niosące nieznaną infekcję nie wracają w**

**granice Układu Słonecznego — takie jest niepisane prawo ustanowione przez**

**samych kosmonautów. Ale :**

**dowódca „Dobryni Nikiticza” może się nie obawiać. Dwa pokolenia białych myszy i jeszcze ogólna kwarantanna. Jak długo przebywali na orbicie parkującej? Nie**

**sposób obliczyć.**

**Zresztą to nieważne. Co dalej? „Stażysta Bugrow! Oblot drugiej planety w kapsule**

**do pomiarów grawimetrycznych!” Zgadza się! W rejonie równika odkrył**

**interesującą anomalię. Przy przejściu na orbitę kołową coś się stało. Źle zrozumiał**

**otrzymany rozkaz. Awaryjne lądowanie na skałach. Kapsuła poszła w drzazgi.**

**Uratował go hełm, pękł na pół, tak że nie trzeba było nawet robić analizy składu**

**atmosfery. Oddychaj, czym się da. Zresztą tak w ogóle ma czym oddychać, choć jest**

**trochę duszno i boli go głowa. Czyżby to od uderzenia? Nie, to przez ten ohydny**

# **zapach.**

**Tak, chyba tak właśnie było. Co jeszcze? Radiostacja nie istnieje — rozbita, naprawić się jej nie da. Zabrał raketnicę, pakiet z żywnością, miotacz i manierkę. Poszedł szukać miejsca dogodnego do lądowania oddziału ratunkowego, gdzieś na równinie. Schodził w dół. pełznął po skałach. Wyszedł na błota. Do pasa śmierdząca maź. Czerwona mgła. Wreszcie dobrnął do suchego miejsca, a tam... Tfu, a niech to diabli! Jak mogłem zapomnieć?! Bugrow przypomniawszy sobie dziwne, podobne do pająka stworzenie, skokami przenoszące się z wzgórza na wzgórze, i bezwiednie wciągnął głowę w ramiona, gdyż wspomnienie nie zaliczało się do najprzyjemniejszych. W jednej z łap stworzenie to trzymało coś bardzo podobnego do przedpotopowego ziemskiego automatu z ogromnym dyskiem magazynka. Zauważyli się prawie jednocześnie i równocześnie zniknęli za stertami kamieni. Widocznie wtedy Bugrow zwolnił bezpiecznik miotacza. Dobrze, że ze strachu nie strzelił. Potem stracił przytomność, a ten drugi cierpliwie czekał schowany za kamieniami. Kosmiczne kontakty. Ileż artykułów, dysertacji, katedr i laboratoriów. Było wszystko prócz samych kontaktów. Im głębiej zapuszczano się w kosmos, tym mniejsze zdawały się być szanse na spotkanie. Sceptycy cieszą się. Nawet czasopisma satyryczne straciły zainteresowanie tym tematem. A przecież praca trwała nadal. Kierujący katedrą kosmicznych kontaktów profesor Surwillo zawsze zaczynał swój pierwszy wykład tak: „Za rozumne może się uważać każde stworzenie, które przewiduje skutki swych postępów”. Dalej szło sto dwadzieścia reguł zachowania się w wypadku zetknięcia się z innymi cywilizacjami. Trzeba było znać je na wyrywki. Profesor był na egzaminach**

**bezlitosny. Dobra, reguły regułami, ale przecież trzeba coś zrobić! Jak**

**długo można leżeć nieruchomo z nosem utkwionym**

**w żwirze. Trzeba koniecznie działać, ale działać ostrożnie.**

**Najpierw zobaczymy, co się dzieje dookoła.**

**Przewrócił się na lewy bok. W odległości mniej więcej**

**dziesięciu metrów od miejsca, w którym leżał, równina**

**przechodziła w spiętrzenie skał tonące w kłębach różowej**

**mgły. Obserwacje przeprowadzone na prawym boku też**

**nie wniosły niczego ciekawego. Ten sam kamienisty grunt**

**pokryty tymi samymi roślinami i pieniaące się błoto. Dalej —**

**te same skały. Krajobraz nie najprzyjemniejszy, ale można**

**wytrzymać. No cóż, spróbujemy nawiązać kontakt**

**z autochtonami. Podpeiznął do ogromnego głazu**

**i przykucnąwszy za nim podniósł w górę splecione ręce —**

**symbol pokoju i pokojowych zamiarów. W odpowiedzi**

**rozległ się pojedynczy wystrzał.**

**Bugrow nie usłyszał uderzenia kuli, widocznie broń nie**

**zaliczała się do dalekosiężnych. A poza tym to wcale nie**

**powiedziane, że na tej planecie strzela się takimi kulami jak**

**niegdyś na Ziemi. Czort wie, czym się tu strzela. Tak...**

**„Za rozumne może się uważać każde stworzenie, które**

**przewiduje skutki swych postępów". Teraz dopiero Bugrow**

**zrozumiał całą akademicką nieprzydatność tego**

**sformułowania. Stworzenie strzelające do niego najwyraźniej**

**przewiduje skutki swych postępów, podczas gdy on,**

**Bugrow, przedstawiciel wysoko rozwiniętej cywilizacji.**

**skutków swych postępów w podobnej sytuacji przewidzieć**

**niestety nie może.**

**No nic, będziemy próbować dalej. Pokażemy im, że i my**

**nie jesteśmy w ciemną bicia, choć nie przejawiamy**

**agresywnych zamiarów.**

**Bugrow wydobyl z kieszeni raketnicę i wystrzelil w niebo**

**racę, która rozsypała się kaskadą oślepiających gwiazd,**

# **niebieskich i czerwonych.**

— No i co na to powiecie?

**W odpowiedzi rozległy się trzy wystrzały, jeden po drugim.**

**Zaklął. Przez chwilę miał nawet ochotę wygarnąć z miotacza**

**w tę kupę kamieni, ale tego nie wolno mu było zrobić.**

**Zbyt dobrze zdawał sobie sprawę ze skutków tego postępuku.**

**Pozostawało czekać, aż wojowniczy tuziemiec oswoi się**

**z jego obecnością.**

**Znów spróbował odtworzyć w pamięci szczegóły**

**z przeszłości. Wszystko było niby w jak najlepszym**

**porządku, ale jego wciąż niepokoiło jedno, W pamięci**

**wyraźnie rysowały się wydarzenia ostatnich dni na**

**„Dobryni Nikiticzu”. mnóstwo bezwartościowych**

**szczeólów z życia na Ziemi; towarzysze z Akademii, profesorowie, znajomi,**

**treningowe loty, ale gdzieś w tych wspomnieniach była luka. Za nic nie mógł sobie**

**przypomnieć startu statku z Ziemi, a nawet gotów był przysiąc, że w jego nazwie**

**jest coś obcego. Nie było takiego gwiazdolotu w rejestrze „Kuriera Kosmicznego”, nie było tego wszystkiego tutaj! Jakiś dziwny rodzaj amnezji.**

**„Kiedy coś jest dla ciebie niejasne, unikaj nieprzemyślanych posunięć”. Niejasnych rzeczy było niestety wiele. A więc trzeba przemyśleć wszystkie posunięcia. Zaczął**

**przebierać we wspomnieniach jak w otwartej księdze, lecz jego myśli jak na złość**

**obracały się wokół wszystkiego, tylko nie tego, co trzeba. Niebieskooka, wyniosła**

**asystentka z katedry kosmicznych kontaktów. Wstępne egzaminy -Znowu nie to.**

**Szkolne lata, dzieciństwo spędzone w internacie, wszystko to nie miało teraz**

znaczenia. Ale właściwie co takiego powinien sobie przypomnieć?

Znów poczuł nasilające się duszności i zawroty głowy. Byleby tylko nie stracić przytomności, bo wtedy... Musiał przez jakiś czas leżeć nieprzytomny, bowiem kiedy ponownie otworzył oczy. cię rzucany przez ogromny kamień nieznacznie przesunął się w prawo- Wydawało mu się, że ohydny przewracający wnętrzości zapach pochodzi z przypominających kaktusy roślin, a jedna z nich sterczała przecież tuż przy jego nosie. Dotknął jej ręką i szarpnął do góry. Roślina nieoczekiwanie rozsypała się w jego rękawicach w proch. Bugrow podniósł rękawicę ku twarzy i zachnął się. To był po prostu źle utwardzony gips, partacka



**robota dyletanta.**

**Wszystko natychmiast ułożyło się w logiczną całość. To aż dziwne, że też się nie domyślił wcześniej. Przecież kto jak kto, ale on powinien znać sztuczki profesora**

# **Surwillo.**

**Rok temu szperając w bibliotece natrafił na jedną z wcześniejszych prac swego szefa. W związku z niemożnością zbadania zachowania się kursantów w zetknięciu z przedstawicielami innych cywilizacji profesor zaproponował oryginalne rozwiązanie: w stanie głębokiej hipnozy kursantowi pokazywano film przedstawiający lądowanie na nieznanym planecie, a następnie umieściwszy go w urządzeniu treningowym badano jego reakcję w zetknięciu z telesterowaną kukłą. Potem oczywiście, także w czasie hipnozy, usuwano wszystkie wspomnienia, dlatego też nikt z poddanych badaniom ludzi nie mógł niczego wygadać,**

**Teraz wiadomo, skąd te przerwy w pamięci. Nie mogło ich nie być na styku rzeczywistości i hipnotycznej sugestii. Ale tu przeliczyliście się, towarzyszu profesorze! Oszczędzaliście na taśmie i nie sfotografowaliście startu. Myśleliście, że i tak się uda, ale niestety... A i fantazji wystarczyło wam tylko na jakiegoś pająka z wulgarnym automatem. Teraz jasne, dlaczego to stworzenie strzela ślepakami.**

**Bugrow śmiało rozejrzał się na boki. Gdzieś za tymi atrapami gór kryją się obiektywy kamer telewizyjnych przekazujących na salę egzaminacyjną każdy jego ruch. Sprytne! A potem przeglądając wideozapisy profesor powie:**

**„A ty co, dobrodzieju, będąc przedstawicielem humanoidalnej planety, nie potrafiłeś nawiązać elementarnej kontaktu? Niedobrze, bardzo niedobrze!” A właśnie że nie będę tańczyć tak, jak ktoś mi zagra! Teraz, szacowni egzaminatorzy, zacznijcie się prawdziwy cyrk! Kursant Bugrow szturmuję piątkę! Z trudem stłumił śmiech. Przed obiektywami kamer telewizyjnych nie wolno robić takich rzeczy. Niech nadal myślą, że tę całą grę traktuje serio. A więc sto dwadzieścia sześć reguł.**

Tak, tylko że postępowanie w myśl każdej z nich wymaga dysponowania jakimś wyposażeniem, a Bugrow nie posiadał ani zestawu figur geometrycznych, ani magnetofonu z zapisem symfonii Czajkowskiego, ani lingwistycznego analizatora. No cóż, spróbujemy przejąć inicjatywę. Zagarnął do siebie kupkę kamieni i wybrał dziesięć jednakowych. Następnie rzucił kukle najpierw trzy, potem dwa, a po pewnym czasie— pięć. Przybysz na pewno zna dodawanie, a to już coś! W odpowiedzi rozległ się wystrzał. Niedobrze! Bardzo niedobrze! Trzeba było zacząć nie od tego. Spróbujemy porozumieć się za pomocą palców. Bugrow pokazał kukle trzy palce, dwa palce, a potem wszystkich pięć. Tym razem wystrzału nie było. Wspaniale! Teraz można wnieść do gry nieco humoru. Nieważne, że nie ma magnetofonu. Zaśpiewamy! — Nie licz diamentów w kamiennych pieczarach! — zaśpiewał z lekka drżącym głosem. Egzaminatorzy dali mu zakończyć arię nie przerywając jej palbą. Też nieźle, ale co dalej?! Co dalej — Bugrow nie miał pojęcia. Wyobraził sobie wlepione w ekran wyczekujące oczy Surwilli, ironiczny uśmiech asystentki i zdenerwował się. „Ach tak, a więc dobrze!”

Wstał, wyprostował się, teatralnym gestem odrzucił miotacz i z podniesionymi rękami ruszył przed siebie.

Czuł się jak bohater,

Pocąc się w niewygodnym skafandrze, wysoko podniósłszy głowę, szedł na spotkanie niebezpieczeństwu, a pulsująca w jego uszach krew wystukiwała marsz gladiatorów...

Od nieoczekiwanej eksplozji bólu w lewym ramieniu jego ręka opadła bezwładnie jak proteza.

— Co oni tam, powariowali czy co?

Druga kula trafiła w nogę, mężczyzna upadł na ziemię

boleśnie uderzając głową w kamień.

— Czyżby naprawdę?...

Nie zdążyłby sobie odpowiedzieć na to pytanie, gdyby "nie sekcja ratunkowa „Ili Muromca". która błyskawicznie spikowawszy w dół przyjęła na prawą burtę serię z automatu, którą wypuściło w Bugrowa czterorękie stworzenie na włochatych

łapach pająka, stworzenie doskonale zdające sobie sprawę ze skutków swego postępowania.

*Dymitr Bilenkin — Grupa Laokoona*

Ruch huraganu mangry odkryły jak zawsze we właściwym momencie, choć, jak się zdawało, nic jeszcze nie świadczyło o jego bliskości. Gdyby mogły nadać swoim odczuciom kształt słów, to zapewne powiedziałyby, że to okrutne ze strony przyrody tak brutalnie odganiać je od nakrytego stołu, kiedy się jeszcze nie nasyciły. Ale niestety— myśl i słowo były im obce. Po prostu nogokorzenie zaczęły się pośpiesznie wydobywać z gruntu, a czamofioletowe pokrowce uniosły się i wyduły na wietrze niczym parasole. Bezlitosna . ewolucja dobrze wpoila w nich surową wiedzę koczownika:

kto zwleka, ten ryzykuje śmierć w szponach huraganu, żeby nie wiadomo jak mocno czepiał się gruntu. Nie minął nawet kwadrans, kiedy równiną wciąż przyśpieszając ruszyła zlaną masą ciemnych żagli, poganiana wiatrem i wysiłkiem setek tysięcy mackopodobnych nóg. Nieomylny instynkt najkrótszą drogą prowadził mangry do miejsca, którego w najbliższym czasie nie ruszy burza, miejsca gdzie można się będzie spokojnie paść. W tym samym czasie to samo zadanie rozwiązywał wzmocniony siłą wszystkich maszyn, odległy o setki

**kilometrów i obserwujący wszystko z wysokości kosmosu, ludzki rozum.**

**Oddziaływające na siebie z niewyobrażalną nie tylko dla człowieka, ale i mangrów siłą sygnały elektronowe i laserowe badały rejon polarny, obliczały krzywą ruchu niezliczonych burz. chaos wiatrów, wściekle uderzenia strumieni powietrza, całą tę przyprawiającą o zawrót głowy lamigłówkę atmosferycznych zjawisk, z którą z takim trudem radziła sobie ziemską matematyka, a wszystko po to, by znaleźć taki skrawek powierzchni, gdzie można będzie wysadzić desant nie narażając go na natychmiastowy atak miejscowych żywiolów. Ponieważ przyroda jest obiektywna, nic więc dziwnego, że różne, w niczym do siebie niepodobne -metody dały ten sam wynik — i but Ziemia skierował się tam, dokąd zdążyły mangry.**

**Ruch ustał, kiedy mangry osiągnęły kotlinę, w której mogły się bezpiecznie paść.**

**„Żagle” zwisły, ich płaszczyzny legły horyzontalnie chłonąc skąpe światło dalekiego słońca, a macki wryły się w ziemię, by dać wielohektarowemu ciału sole**

**pokarmowe.**

**Teraz już nic nie mówiło, że mangry to koczownicy: miało się wrażenie, że zawsze rosły one i będą rosły na tym stromym zboczu wzgórza. Uspokoila się też i zajęła własnymi sprawami cała ta fauna, która zawsze towarzyszyła mangrom. Gruchot, narastający grzmot, silny powiew powietrza**

**wprawily mangry w poploch zmuszając do mocniejszego wczepienia się w grunt.**

**Spoza obłoków wysunęło się cygaro, wsparło się na słupie ognia, a potem powoli opadło. Mangry odnotowały prawie cały proces przybycia człowieka na ich planetę, prócz ostatniego etapu: but usiadł za szczytem wzgórza.**

**Ucichł wiatr, uspokoiły się również mangry. To, co widziały, nie było trąbą powietrzną, która mogła wyrządzić im krzywdę, a jeżeli nawet było, to przecież zniknęło gdzieś z boku. Niebogaty zespół reakcji na bodźce zewnętrznego środowiska spisał się jak należy, więc mogły paść się spokojnie, rozkoszując się chłodnymi promieniami swego słońca, delektując pożywieniem i poczuciem bezpieczeństwa. Wszystko to, co związane było z pojawieniem się człowieka, znajdowało się daleko poza granicami ich mizernej świadomości i choć ich droga skrzyżowała się z drogą człowieka, to dla nich wszystko wciąż jeszcze było takie**

**samo jak zawsze.**

**Człowiek również nie podejrzewał, że ich drogi skrzyżowały się, choć wiedział, że**

**istnieje coś takiego, jak mangry, ba, nawet zdażył się nimi zainteresować. Może**

**wydać się to dziwne, ale obie strony znajdowały się prawie w identycznej sytuacji: dla mangrów nie istniał człowiek, zaś dla człowieka mangry istniały jedynie jako**

**zagadka, bo cóż można zobaczyć z kosmosu? Chyba tylko to, że jakieś plamy,**

**najwidoczniej roślinność, albo zmieniają swą barwę (tradycyjna, dlatego też**

**najbardziej prawdopodobna hipoteza), albo zakopują się pod ziemię na czas**

**niepogody, albo też przemieszczają się z miejsca na miejsce w jakiś nieznanym**

**sposób. Więcej nie mogły powiedzieć nawet automaty zwiadu, które w tej obcej i**

**burzliwej atmosferze zwiewało niczym jesienne liście. Zresztą, jakie znaczenie**

**mogły mieć mangry. Były one zaledwie drobnym kamyczkiem, kolejnym pyłkiem**

**na wielkiej gwiazdnej drodze człowieka. Pyłkiem, który należy mimochodem**

**zbadać, nic więcej.**

**Kiedy lądowanie dobiegło końca, dno desantowego buta rozsunęło się**

**wypuszczając kotwiczne łapy, które natychmiast zagłębiły się w gruncie, na**

**wypadek nieprzewidzianego huraganu. Bo co to takiego miejscowy huragan, ludzie**

**wiedzieli nie gorzej od mangrów, tylko że w przeciwieństwie do nich nie mogli**

**polegać na swych obliczeniach, kiedy i skąd nadciągnie, w takim stopniu,**

**w jakim mangry polegały na swym instynkcie. W godzinę po opadnięciu pyłu z**

**otwartego luku wysunęła się szyna, po której zjechał wszędolaz. Ludzie zstąpili na jeszcze jedną planetę.**

**Wszędolaz uporał się ze szczytem wzgórza i oto ludzie po raz pierwszy zobaczyli z**

**bliska mangry, a właściwie nie mangry, lecz coś zwykłego, dobrze im znanego—**

krzaczaste zarośla. Rzecz jasna nie były to zwykłe zarośla — niska ściana gęstych gołych gałęzi, z których wiele kończyło się pękiem podługowatych ciemnych liści. Liście te układały się swymi płaszczyznami prostopadle do promieni słonecznych. Co to jest. wiedział każdy, więc kierowca bez namysłu skierował pojazd na zarośla. Gąsienice zgmiotły zbity „materac” gałęzi, nawet nie racząc zareagować na przeszkody. W proch' obrócono pierwsze liście, wszędołaz szedł pozostawiając za sobą groch z kapustą.

— Kolejny przystanek w środku zarośli — nie odrywając się od fotowizjera powiedział biolog. — Trzeba pobrać próbki i z bliska przyjrzeć się temu zagajnikowi. Wszędołaz zatrzymał się jednak wcześniej, niż to było zamierzone. I to wbrew woli ludzi. Zmysły mangrów poczuły ból, który rozprzestrzeniał się w miarę tego. jak wszędołaz miażdżył żywe ciało. Ale mangry nie śpieszyły się — ich życie było stałą walką o istnienie, wiedziały więc. co i jak należy robić. Napastnika zauważyły już dawno, a jego identyfikacja była kwestią zaledwie kilku chwil. Nic nowego — po prostu kolejny napad ich zatwardziałego wroga - urbana. Niezliczone pokolenia Urbanów żywiły się mangrami, prowadziły z nimi brutalną walkę, a niezliczone pokolenia mangrów bądź zwyciężały, bądź ginęły w tych starciach. Ginęły jednak tylko mniej przystosowane osobniki, bowiem silne i sprytne potrafiły przetrwać, by z kolei niszczyć mniej szczęśliwe urbany. W ten sposób oba gatunki niszczyły swych najsłabszych przedstawicieli w walce, która była gwarancją rozwoju tak jednych, jak i drugich.

Niski, masywny wszędołaz nie za bardzo przypominał urbana, ale co najważniejsze — napadał. Nic więc dziwnego, że ruch gąsienic włączył cały arsenał środków walki z takimi niszczącymi wszystkimi i wszystko gigantami. Reakcja wroga, gdyby mangry wiedziały, co to zdziwienie, zapewne zdumiałaby je swą powolnością.



**Wszystko układało się nad podziw dobrze: nieroztropny przeciwnik został oderwany od gruntu, pozbawiony możliwości poruszania się i jego śmierć była teraz już tylko kwestią czasu.**

**Mangry odczuwały zadowolenie — to nieświadome uczucie było im znane.**

**— Halo, but, zostaliśmy napadnięci, aż śmiech powiedzieć, przez zarośla!**

**— A dokładniej?**

**— Gąsienice pojazdu mlóca powietrze, najwidoczniej te krzaki pozbawiły je oparcia. Te ich zwinne gałązki, a dokładniej macki, oplotły nadwozie tak szczelnie, że nie możemy otworzyć drzwiczek, by użyć broni.**

**— Niebezpieczeństwo?**

**— Bezpośredniego niebezpieczeństwa nie ma, krzaki niczego nie przedsięwzięją, ale nasza sytuacja jest bardzo głupia:**

**zostaliśmy jeńcami, i to nie wiadomo nawet czego. Na razie nie widzimy wyjścia.**

**— Wszystko jasne. Za dziesięć minut atakujemy te wasze roślinki.**

**— Biolog odradza: drugiego wszędolaza nie mamy, a bez niego każdy atak jest ryzykowny, gdyż nie znamy możliwości przeciwnika.**

**— Pozytywny program?**

**— Należy pobrać próbki tych zarośli i ustalić, co to takiego.**

**— To wiemy. Ale czy możecie zagwarantować, że w tym czasie nic się wam nie przytrafi?**

**— Nie, oczywiście, że nie, choć powtarzam, zarośla przerwały atak. Najwidoczniej nie wiedzą, co mają z nami zrobić.**

**— W takim razie czekajcie. Nasz plan jest nadal aktualny.**

**Ludzie mylili się sądząc, że mangry nie wiedzą, jak postąpić z uwięzionym**

**dziwołaniem. Mylili się też co do tego, że nie przedsięwzięją one żadnych kroków.**

**Mangry działały, d/iaiały jak. jak zwykle były działać, i w czasie gdy trwała rozmowa, usiłowały rozerwać wszędolaz podobnie jak rozrywały złapane urbany.**

**Rzecz zrozumiała nie wychodziło im Io. Zresztą w ogóle wszystko było nie tak: wróg nie wrywał się, a gałęziorece, te, które powinny były ścisnąć niebezpieczne szczytce urbana, zamiast nich ścisnęły powietrze. Fakt ten zaniepokoił nie tylko mangry, ale i ludzi, którzy ze zdziwieniem obserwowali, jak z lewa na prawo od nadwozia, chwytając pustkę, kołysały się pęki macek. Cóż to miało znaczyć? Po kilku minutach oszołomienia ludzie zrozumieli poprzednie postęпки mangrów.**

**Ten natomiast był niewytłumaczalny,**

**więc można było spodziewać się najgorszego—jakiś diabelski, zgubny zamysł.**

**Pozostawiwszy na pokładzie dyżurnego, trzech ludzi szybko dotarło do szczytu wzgórza. Choć wyposażeni w karabiny plazmowe — broń o potężnej sile rażenia — natychmiast zrozumieli, że nawet one nie dają gwarancji szybkiego sukcesu. Co innego groźne potwory, które plazmowy wystrzał przebijał na wylot, a co innego rozległe zarośla „zagajnika”, w którym należało wypalić drogę do pokonanego pojazdu. Ale w końcu cóż mógł przeciwstawić „zagajnik” broni, która tak wspaniale torowała człowiekowi drogę we wszystkich, bez wyjątku, światach?**

**Upewniwszy się, że rozerwać ofiary nie można, mangry jak zwykle zmieniły taktykę: gałęziorece ścisnęły wszędolaza, zgmiotły go tak, że żadnemu Urbanowi nie wyszłoby to na dobre, a spektrolitowy pancerz wszędolaza nawet nie zgrzytnął.**

**Ludzie -w jego wnętrzu znów nie zauważyli tych nowych potężnych wysiłków mangrów. „Zagajnik” należało wypalać stopniowo, metr po metrze, i tak postępowali atakujący. W sukces rzecz jasna nie wątpili. Mangry oczywiście nie**

uświadamiały sobie, że te rażące je z oddali figury i pojmany gigant — to ogniwa jednego łańcucha. Wiedziały, że mają przed sobą nowego wroga — ot i wszystko. Co prawda z takim rażącym z oddali przeciwnikiem nie miały jeszcze do czynienia, ale strach przed tym, co nieznanie, w ogóle strach — był im obcy. Dopóki uszczerbek, jakiego doznały, był niewielki, mogły i powinny były walczyć, gdyż w przeciwnym razie, mówiło im to milionietnie doświadczenie, nie przeżyją. Ludzie z zadowoleniem odnotowali fakt, że już pierwsze wystrzały zmusiły „zagajnik” do cofnięcia się. Odstępował co prawda na całym froncie, ale włókl za sobą wszędolaza. Wróg ucieka, trzeba go ścigać! Odezwała się w ludziach stara łowiecka zasada. Zresztą czyż mogli postąpić inaczej, skoro zwiększająca się odległość osłabiała siłę ognia? Zaczął się pościg.

Mangrom obca była taka abstrakcja, jak pułapka, a przecież zastawiły właśnie pułapkę, bowiem i ten środek znajdował się w arsenale ich metod walki. Cofały się, to prawda, ale nie wszystkie. Niektóre nogokorzenie zarywszy się w grunt - zostawały tam, gdzie były, czekając na moment, w którym ich górne odrostki poczują na sobie stąpienia atakującego przeciwnika.

Nawet taka walka, jak niszczenie zarośli, rodzi hazard, nic więc dziwnego, że ludzie miotający błyskawice nie zwracali uwagi na opalony ich wystrzałami grunt. Zapadnia zadziałała błyskawicznie. Ludzie nie zdążyli jeszcze zrozumieć, co się stało, kiedy ich nogi zostały oplecione wyskakującymi spod ziemi mackami.

Jeszcze chwila — i ich ciała znalazły się w powietrzu, a kolejne macki unieruchomiły ręce.

To było tak straszne — te wyskakujące spod ziemi macki — że ludzie przegapili bezcenny moment, kiedy broń mogła ich jeszcze uwolnić.

Oczywiście, jak się tego należało spodziewać, mangry natychmiast ścisnęły swoich

nowych jeńców, ale sił pojedynczych nogokorzeni, które tak błyskotliwie wykonały swoje zadanie, nie starczyło na pokonanie oporu skafandrów. Lecz do czasu.

Ledwie ustały wystrzały, w stronę trzech bezsilnie w iszących w powietrzu jeńców ruszyła cała zwarta masa mangrów. • Czym to grozi, ludzie zrozumieli w lot. Ich ręce i broń zostały unieruchomione w tak dziwny sposób, że mogli poruszać dłońmi. Działać w takiej sytuacji nie było zbyt wygodnie, ale taki cel, jak „zagajnik”, można razić i bez celowania. Na mangry znów posypały się błyskawice. Zrozpaczeni ludzie oczekiwali, że macki w tym samym momencie pochwycą, ścisną, wyrwą broń. Ale ku ich zdziwieniu nic takiego nie nastąpiło — macki nie poruszyły się.

Opalony ogniem front mangrów zamarł. Ludzie przestali strzelać — w ich nowym rozpaczliwym położeniu drogi był każdy pocisk.

Mangry znów ruszyły. Znów zatrzymały je wystrzały. Powtórzyło się to jeszcze kilka razy. Wreszcie ludzi przestał męczyć koszmar — mangry uspokoiły się.

Mangry, choć ich organizacja była prymitywna, umiały się uczyć. W tym konkretnym wypadku ich możliwości były jednak bardzo ograniczone. Wystrzały co prawda wyrobiły w nich umowny refleks, ale dalej szło już gorzej. Mangry, jeżeli można tak powiedzieć, zgłupiały, gdyż walka rozwijała się coraz bardziej „nie według zasad”. I właśnie wtedy gdy program instynktu został wyczerpany, włączył się mechanizm metody prób i błędów. — Zróbcież cokolwiek! — dzwonił w nausznikach bezsilny krzyk. Ludzie we wszędołazie woleli nie patrzeć na siebie. Ich położenie było koszmarnie — sami chronieni pancerzem, mieli bezsilnie patrzeć na agonię przyjaciół, którzy szli im na pomoc i przez to siali się ofiarami. A agonía musiała nadejść wcześniej czy później. Nawet jeżeli wszystko zostanie tak, jak jest, i „zagajnik” nie będzie działać, to i tak tlen w skafandrach skończy się wcześniej, aniżeli mknący z sąsiedniej

planety gwiazdolit przyjdzie im z pomocą. Był jeszcze dyżurny, jeden jedyny wolny człowiek, który opuścił swoje stanowisko, i teraz jego samotna sylwetka majaczyła na szczycie wzgórza. Ale strzelać nie mógł— nie można było zniszczyć macki nie trafiając przy tym człowieka. Podejść z nożem? Bardzo ryzykowne przedsięwzięcie. Nieoczekiwanie pojazdem wstrząsnęło. Jego burta przekrzywiła się, ludzie ledwie zdążyli uchwycić za poręcze. Nie, mangry bynajmniej nie zapomniały o swym pierwszym przeciwniku! Przewracały go do góry nogami! Po co? Tego nie wiedzieli ani ludzie, ani mangry. Przewróconemu do góry nogami wszędolazowi mangry nie były w stanie zaszkodzić, ale za to z uwięzionymi ludźmi mogły sobie poradzić co najmniej na trzy różne sposoby:

zabić mocnymi uderzeniami o ziemię, skrócić ich ciała tak, by spowodować rozerwanie skafandrow, albo też, jak to miało miejsce w wypadku wszędolaza, odwrócić głowami w dół.

Drugi sposób zachował się w pamięci dziedzicznej mangrów, ale na szczęście dla ludzi program ten zakończył się takim niewypałem, że instynkt automatycznie się wyłączył. Program „postępuj jak zawsze” został osłabiony innym:

„próbuj, jeżeli nie wychodzi tak jak zawsze”. Skoro więc ludzi z błyskawicami oraz wszędolaz uznano za dwóch różnych wrogów, także i próby były różne: macki

wypuściły jedynie sok, którym rozkładały minerały gruntu, i zaczęły potrząsać ludźmi tymi samymi ruchami, jakimi spulchniały ziemię. Nie było to zbyt przyjemne, ale potrząsanie przynajmniej niczym nie groziło. Co zaś się tyczy białego płynu, który pociekł po skafandrach, to tu można się było spodziewać wszystkiego najgorszego. Wróg który tak szybko i umiejętnie zadał klęskę, wydawał się ludziom uosobieniem bezwzględności i wyrachowanego rozumu. Na

**szczęście nie wszystkim.**

**Ludzie we wszędolazie pomimo ciężkich przejść mogli myśleć." W czasie gdy obserwowali wydarzenia, stopniowo brała w nich górę skłonność do analizowania.**

**Proces ten, choć nieświadomy, był efektem ogromnego doświadczenia ludzkiej kultury, które podpowiadało, że wszystkie zwycięstwa poprzedzało zawsze twórcze podejście, że tam gdzie go nie było, nie było i zwycięstwa.**

**Przyczyną całego nieszczęścia był stereotyp myślenia, ale drugiego podobnego błędu udało się im uniknąć. Skoordynowane, pewne, a stąd i zewnętrze rozumne**

**posunięcia „zagajnika" tylko na moment zachwiały początkową pewnością biologa, że mają do czynienia z prymitywnym, choć jedynym w swym rodzaju stworzeniem.**

**Pewność ta nie była ślepa, gdyż opierała się na znajomości ogólnych praw ewolucji życia, na świadomości, że treść określa formę. Fakt, że „zarośla" nie**

**unieruchomiły broni. nie znalazły pewnej metody zgładzenia bezbronnych ludzi, rozwiewał ostatnie wątpliwości. Przeciwnik nie był ani mądry. ani głupi, tak jak**

**nie była ani mądra, ani głupia dowolna ziemska roślina; był jedynie doskonale**

**przystosowany do ściśle określonych warunków i sytuacji, nic więcej. Kiedy to**

**zrozumiano, do znalezienia wyjścia z beznadziejnego, jak się wydawało, położenia**

**był już tylko jeden krok. W rozumowaniu błędu nie było. W tych rejonach, gdzie**

**nie kipiał bój, liście mangrów nadal chłoneły światło. Tam gdzie ucichły wystrzały, pojawiły się podobne do stonogi duże stworzenia, które bez cienia strachu snuły**

**się pomiędzy gałęziami i zjadały liście. Rzecz jasna, idylla ta nie dotarła do**

**ogłuszonego wydarzeniami rozumu, ale na szczęście pozostała w świadomości**

**ludzi. By jednak zrodziła się z tego myśl. trzeba w pierw było zrezygnować z kilku**

**uprzednio przyjętych ustaleń. Jak na przykład: że cała siła człowieka tkwi w**

**potędze ujarzmionych przez niego energii. doskonałości stworzonych przez niego**

**maszyn, bo w rzeczywistości tkwi ona w giętkości, dalekowzroczności jego**

**myślenia! A także, że taktyka, która nie zawiodła nawet tysiąc razy, niekoniecznie sprawdza się za tysiąc pierwszym. No i że człowiek jest zawsze rozumny: tak**

**naprawdę jest on rozumny tylko wtedy, kiedy potrafi dostrzec, ocenić nowość i**

**zmieniwszy uprzedni obraz świata działać odpowiednio do rzeczywistości, jaka by**

**ona nie była Niezauważalnie dla siebie (konieczność to najlepszy nauczyciel!)**

**biolog przebył • całą tę drogę. I wtedy zrozumiał, co należy robić. Zrozumiał to w tym momencie, w którym w nausznikach rozległ się rozpaczliwy krzyk:**

**— Płyn rozpuszcza skafander!**

**Nadeszła krytyczna minuta i biolog zrozumiał, że jego**

**odkrycie jest bezużyteczne: nie ma czasu na wyjaśnienia,**

**wydarzenia wyprzedziły pracę rozumu.**

# **A jednak...**

— Z czego wnioskujecie, że sok rozpuszcza siliket?!

— Łuszczy się i odpada jego zewnętrzna warstwa!

„Sok został wypuszczony pół godziny temu — przeleciała przez głowę myśl. — A warstw jest trzy...”:

— Stój! — krzyknął. — Mamy jeszcze czas i pewną metodę!

Za późno. Jedyne znajdujący się na wolności człowiek załogi już podbiegał do uwięzionych. Zgrzytnęło ostrze noża... Zanim nóż zdołał odciąć drugą mackę, kilka innych zsunąwszy się z jeńców pochwyciło śmiałka- I choć był on przygotowany na atak, macki uprzedziły jego reakcję. Sekunda — i znalazł się w takim samym położeniu co pozostali.

Strach nie przeszkodził biologowi w stwierdzeniu, że jego plan potwierdził się w swym najslabszym punkcie. Teraz pewny był swego. Chyba że „zagajnik” jakimś sposobem uniemożliwi realizację jego planu. Tego jednakże można się było nie obawiać. Mangry wiedziały, że ich sok działa powoli, i nie śpieszyły się z innymi środkami. Co zaś się tyczy pierwszego wroga — wszędolaza — to jego zachowanie wskazywało na to, że jest martwy. Teraz wypadało już czekać na moment, kiedy płyn rozmiękczy tkanki tego dziwnie twardego urbana. Wszystko było nie tak, a przecież szło jak trzeba.

Denny luk otworzył się do wewnątrz. Pierwszy wyszedł biolog. Luk natychmiast zatrzasnął się za nim — żeby nie wiadomo jak pewna była teoria, ryzykowanie



**wszystkim nie ma sensu.**

**Przewracając wszędołaz mangry ułatwiły realizację planu, gdyż teraz człowiek miał dużo przestrzeni na manewr, którego przecież nie byłoby, gdyby denny luk znajdował się na właściwym miejscu.**

**Na czworakach, starając się nie dotykać bez potrzeby macek, człowiek ześliznął się z pancerza wszędołaza i lawirując ruszył poprzez sploty strasznych ramion. Najstraszniejszą rzeczą dla biologa była konieczność dotykania tych bladooleistych macek i świadomość, że w każdej chwili mogą one pochwycić go i udusić. Wbrew wszystkiemu wyobraźnia bezwolnie wyposażała je przecież w rozsądek, który mógł przełamać szablon instynktu. Przecież to jasne, że skrada się wróg!**

**Tymczasem mangry wiedziały jedynie, że poprzez sploty gałęziorak pełźnie coś nieszkodliwego, a nawet pożytecznego. Żadne inne stworzenie po prostu nie mogło się znaleźć i poruszać w sercu ich organizmu, bowiem zostałyby**

**zatrzymane, rozpoznane i zniszczone na granicy ciała. Nie orientowały się, co krząta się pośród nich, nie zwracały uwagi na te stworzenia, które zjadały chore liście, zbierały szkodliwe owady czy żywiły się obumarłymi tkankami. Przecież nawet człowiek bez pomocy nauki nie jest w stanie zauważyć tych szkodliwych stworzeń, które gnieźdzą się w jego organizmie! Właśnie dlatego biolog był bezpieczny, mógł spacerować jak po parku. Wkrótce zrozumieli to wszyscy.**

**Biologa mogły zgubić tylko dwa błędy, ale na swoje szczęście uniknął ich. Nie ruszył wprost przed siebie, gdyż wtedy trzeba byłoby pełznąć poprzez opalone ogniem strefy, a to mogłoby sprawić mangrom ból i prawdopodobnie spowodować reakcję obronną. I choć znacznie wydłużyło to jego trasę, wydostał się na zewnątrz tam, gdzie nic mangrów nie niepokoiło. A wydostawszy się nie wstał i nie pobiegł**

przed siebie, gdyż doskonale rozumiał, że przeciwnik już nauczył się kojarzyć niebezpieczeństwo z sylwetką idącego człowieka. Załoga wszędołaza dokładnie powtórzyła jego manewr. Oczywiście nie obyło się to bez oporów, ale zakończyło się sukcesem.

Walka pojedynczego człowieka, choć zakończyła się tak oplakanie, potwierdziła to, czego biolog domyślał się. Wiązka macek wyczerpała wszystkie swoje siły.

Wyczerpała do tego stopnia, że nowego więźnia nie była już w stanie ' nawet podnieść. Być może macki mogły jeszcze skrócić ' jednego czy dwóch ludzi, ale teraz do walki przystępowało czterech. Podejścia innych mangrów można się było nie obawiać: „refleks wystrzałów” nie powinien był tak szybko zaniknąć...

Wszystko to. co działo się potem, bardzo przypominało walkę grupy Laokoona ze żmijami. Teraz należało odbić wszędołaz. Ale myśl o niszczeniu tego już bezbronnego, gdy stały się jasne jego słabe strony, choć nadal zagadkowego „zagajnika” wydawała się ludziom obrzydliwa. Łatwo też doszli do wniosku, że mangry same porzucą pojazd, gdy tylko odkryją zbliżanie się burzy. Mylili się jednak. Instynkt kazał mangrom nie rezygnować ze zdobyczy, więc kiedy zbliżyła się burza, powlekły go ze sobą. Był to fatalny błąd z ich strony. Wszędołaza nie można było tak jak urbana rozerwać na kawałki; jego ogrom opóźnił ruch mangrów i dogoniła je burza. A co znaczą miejscowe burze i dlaczego mangry stały się koczującymi półroślinami-półzwierzętami, powiedziały ludziom części wszędołaza rozsiane na przestrzeni wielu kilometrów.

*Dymitr Bilenkin — Światło życia*

Tutejsze słońce miało kolor surówki, a o planecie nawet nie warto mówić. W porównaniu z jej dyskiem przesłaniającym widnokrąg kosmos był zaledwie

małeńką plamką światła. Wpatrujący się w planetę kapitan Zibella bez słowa skierował ku dołowi zgięty palec. Ruch, jakim Rzymianie skazywali gladiatorów na śmierć, był tu bardzo na miejscu;

ale my woleliśmy poczekać na wskazania lokatorów. Irina nalala wszystkim kawy, ale ja nie miałem głowy do picia. Było nie było, mieliśmy przed sobą pierwszą odkrytą przez nas planetę czarnej gwiazdy. Do moich uszu docierała rozmowa łącznościowców: ;

— Odległość?

— Zero koma siedem.

— Aktywność informacyjna?

— Zero.

Przepisy były bezwzględne. „Informacyjna aktywność zwiadu winna odpowiadać informacyjnemu poziomowi planety”.

Czyli innymi słowy, powinniśmy upewnić się, czy na planecie nie ma chociażby najprymitywniejszych stacji nadawczo-odbiorczych, które mogłyby przechwycić sygnały naszych lokatorów, a tym samym wykryć naszą obecność wcześniej, niż będziemy sobie tego życzyć.

Ale jak się tego należało spodziewać, na planecie panował absolutny spokój.

— Kapitanie Zibella! Czy można włączyć lokatory?

— Nie zrozumiałem was, powtórzcie jak należy. Po drugiej stronie ktoś ciężko westchnął. Zibella był człowiekiem wiernym swoim zasadom, ale nie tylko... W całym kosmosie trudno byłoby bowiem znaleźć drugiego tak skrupulatnie

stosującego się do przepisów kapitana. Złośliwi mawiali często, że Zibella nie ożenił się właśnie dlatego, że jak dotąd nie wypracowano jeszcze w tej 'dziedzinie odpowiednich instrukcji. Możliwe, że w niektórych rzeczach kapitan taktycznie przesadzał, ale jakby tam naprawdę nie było. to faktem jest, że pod jego dowództwem automaty i ludzie spisywali się na medal.

— Przepraszam — rozległo się w głośniku. — Odległość orbitalna — zero koma pięć, aktywność informacyjna obiektu — zero, pasywna widzialność obiektu — zero, proszę o zezwolenie na lokację.

— Zrozumiałem. Odległość orbitalna — zero pięć, aktywność zerowa, pasywna widzialność obiektu — zero, zezwalam na użycie lokatorów. Wszyscy, włączając w to oczywiście i Zibellę, ze zniecierpliwieniem wpatrywaliśmy się w ekran. Płynęły długie sekundy, w czasie których automaty obmacujące przestrzeń wybierały najodpowiedniejszy do przebicia rodzaj promieni, najoptymalniejszą częstotliwość (z wyjątkiem szkodliwych dla życia organicznego). Kątem oka obserwowałem iluminator: tam na zewnątrz wszystko było czamiejsze od sadzy.

Nam, ludziom przywykłym do kojarzenia widzenia ze światłem, trudno było uwierzyć, że lokatory poradzą sobie z tymi ciemnościami. Spodziewaliśmy się najgorszego (bywało przecież i tak, że atmosfera okazywała się nie do przebicia), nic więc dziwnego, że kiedy wreszcie pojawił się obraz. Irina puściła się w tany.

Uśmiechnął się nawet Zibella. To było coś wspaniałego. Miało się wrażenie, że ktoś zerwał przesłaniającą światło zasłonę. Do pomieszczenia zacierając ręce wbiegł

Leo. — No i jak? — zapytał tak, jakby to on sam bez pomocy jakichkolwiek automatów zapewnił nam ten doskonały obraz. Nikt nie odpowiedział, gdyż właśnie w tym momencie zobaczyliśmy domki...

Mało co oddziaływa na człowieka tak. jak widok odkrytej przez niego planety. Całe

**twoje ciało i rozum stają się wtedy dodatkiem do oka, które nie patrzy, lecz wręcz pożera rozpościerający się przed nim krajobraz. Choćby te porwane, chaotyczne**

**skupiska gór z nieziemskimi szafirowymi lodowcami... I te przypominające ślady**

**ptasich łap jary... I tę niezrozumiałą bladoróżową plamę... I blask morza... I nikt tego wszystkiego jeszcze nie widział — ty jesteś pierwszy! A gdy jeszcze na dodatek zostanie 'odkryte życie...**

**Duszę wtedy sprzedasz za to, by jak najprędzej zstąpić na powierzchnię planety. •**

**Niestety, czasy Kolumba minęły bezpowrotnie. Już sam zbiór przepisów**

**dotyczących sposobów badania planet pozbawionych życia może przyprawić**

**człowieka o śmierć, ale zapewniam was, że jego waga oraz objętość są doprawdy**

**niczym w porównaniu z analogicznymi danymi temu określającego metody**

**podejścia do planety, na której jest życie, a kto wie, może i rozum. A teraz**

**wyobraźcie sobie, że Zibella pedantycznie stosował się do tych wszystkich**

**przepisów! Badaliśmy więc planetę z najdalszej orbity. średniej, najbliższej;**

**sprawdzaliśmy jej obraz topograficzny, magnetometryczny, grawitacyjny,**

**radiolokacyjny, termodynamiczny itd... Robiliśmy nie tylko to, co trzeba było**

**zrobić, ale i to, co można było zrobić, jak również to, czego nie trzeba było robić, ale warto zrobić. No i w efekcie o mało**

**nie utonęliśmy w potoku napływających zewsząd informacji.**

**„Kaszy masłem nie zepsujesz” — powtarzał nam Zibella, choć nawiasem mówiąc**

**na skutek niezliczonych trosk stracił całkowicie apetyt. Nie szemraliśmy, gdyż**

**planeta była rzeczywiście nadzwyczaj ciekawa. Nie otrzymywała od swej gwiazdy**

**ani ciepła, ani światła, więc na dobrą sprawę powinna była być lodową pustynią, 'a tymczasem, choć klimat w naszym mniemaniu był raczej surowy, to przecież**

**planetę można było nazwać kwitnącą. W odróżnieniu od Ziemi ciepło dawało jej**

**własne wnętrze, a gęsta atmosfera skutecznie uniemożliwiała mu ucieczkę w**

przestrzeń. Roślinność utrzymywała się przy życiu dzięki energii cieplnej, to jasne, ale już mieszkańcy domków... Krążąc po dalekiej orbicie nie mogliśmy określić

zbyt dokładnie ich wyglądu, stąd też właściwe powiększenie uzyskaliśmy dopiero wtedy, gdy przyszła kolej na zwiad za pomocą maszyn atmosferycznych.

Kiedy pojawili się na ekranie, Leo zaśmiał się nerwowo. Budową oraz wzrostem stworzenia przypominały pingwiny, choć różnił je jeden szczegół: posiadały bowiem dwie swobodne kończyny zbliżone do rąk... Ale za to cała reszta!...

Wyobraźcie sobie głowę w kształcie dyni, na dodatek zwieńczonej laurowym wieńcem. Wyobraźcie sobie pulsującą Irójkątną klapkę pośrodku leją. że się tak wyrażę. „twarzy” oraz szpary tam, gdzie my mamy uszy, I ani śladu oczu! I właśnie brak oczu sprawił, że byli zupełnie niepodobni do ludzi...

Stożkowate domki stworzeń otoczone były spulchnionymi skrawkami ziemi, na których coś rosło. Poza tym domki miały drzwi. Prawdziwe drzwi na rzemiennych pętlach zawiasów.

Oddaleni o dziesiątki kilometrów z biciem serca wpatrywaliśmy się w te drzwi, doskonale rozumiejąc, co to oznacza.

— Orkiestra, tusz! — ni w pięć ni w dziesięć wykrzyknęła Irina. " " "

Zibella jakby nie słyszał. Tkwił pochylony nad ekranem, po którym przesuwano się maleńkie rozumne stworzenie, z takim wyrazem twarzy, jakby chciał je przycisnąć do swej szerokiej piersi. Ale kiedy ucichły pierwsze krzyki radości. zaczęliśmy odnotowywać dziwne fakty. Stworzenie rzuciło się do ucieczki, gdy dzieliło nas zaledwie kilka kroków, i przebijając krótkimi jak patyczki nóżkami pomknęło po prostej. Na jego drodze znalazła

się już jednak Irina. która z wprawą podstawiła nogę mknącemu w jej stronę beczkopodobnemu ciału. Rogi stworzenia uderzyły o metal. Tuziemiec pisnął i

rzucił się • w bok. Wszystko się zgadzało. Z niewielkimi wyjątkami wszystkie stworzenia podpuszczały nas do siebie, a potem ratowały się paniczną ucieczką, nie zauważając jednak znajdujących się na ich drodze przeszkód- Jakby słyszały odgłosy kroków, ale nie widziały nas; I tak wszystkie. Bezokolicznie w pieczarach życia. Bo były tu i pieczary. Pieczary mroku. Patrząc na wszystko z góry. tak przywykliśmy do . tego. że nad planetą świeci słońce — nasze radarowe słońce — że ciemności nam w dole podziały na nas przygnębiająco. Ciemności, no i związane z nimi myśli. Tutejsze rośliny nie pięły się do góry. lecz przytulały do ziemi. Bezbarwne, kruche tafle liści układały się piętrami, a im wyżej, tym były one cieńsze i szersze. Skapywała z nich. zwisała zielonożółta śluzowata ciecz, wywołująca nieodparte wrażenie, że cała roślinność cierpi na katar. Patrzeć pod nogi nie było po co. a niebo też nie cieszyło oczu - tam gdzieś w górze. w nieprzejrzanych ciemnościach, od czasu do czasu przelatowały płowe kluski:

# **prawdopodobnie miejscowe ptaki.**

**Nie. to stanowczo nie było miejsce dla człowieka. Idąc za pozostałymi dziękowałem losowi za to. że jestem tylko gościem w tym tak nieprzyjemnym świecie. Odkryć i spenetrować—; oto na czym polegało nasze zadanie. Ktoś inny będzie natomiast musiał tu żyć. gdyż planeta wymaga stacjonarnej obserwacji. A to oznacza lata samotności i mroku, długie i smutne lata, o których lepiej nie mówić, nawet jeżeli przypadły bądź przypadną one w udziale nie tobie, lecz komuś innemu. Wstyd powiedzieć, ale przedzierając się w mroku poprzez oślizłe zarośla cieszyłem się. że mam „powrotny bilet”. Do domków podchodziliśmy wcale się nie kryjąc, bo przecież nie było tu oczu. które mogłyby dostrzec światelka naszych latarek. Mógł nas zdradzić co najwyżej jakiś hałas, ale nie zamierzaliśmy zbytnio się zbliżać.**

**Tylko ze zwykłego ziemskiego przyzwyczajenia zalegliśmy więc w „krzakach”, czyli podziurkowanych niczym szwajcarski ser jakichś miejscowych roślinach. Śmiechu warte, ale jeżeli dobrze się zastanowić, to wcale nie chciało nam się śmiać. Już od wielu godzin staraliśmy się przecież za wszelką cenę zrozumieć, jak może istnieć ten ślepy świat — niestety bez . powodzenia. Co do tego. że jest on ślepy, nie mieliśmy żadnych wątpliwości. Ani zwierzęta, ani mieszkańcy domków nie dysponowali możliwością dalekiego widzenia. Nic dziwnego, nie mieli przecież oczu. Ale to jeszcze nie wszystko! Brakowało im też takich organów, które w jakimś przynajmniej stopniu mogłyby ten brak uzupełnić! Organów. które pozwalałyby zauważać odległe przedmioty, ot chociażby tak. jak to robi latająca mysz. Słuch? Rozwinięty nie lepiej niż nasz. Węch? Na poziomie psiego. Jakiś nie znany nam szósty, siódmy czy może dziesiąty zmysł? Przecież już nieraz widzieliśmy na własne oczy, jak biegnące stworzenie z siłą uderzało w przeszkodę tak jak to. które kwadrans temu wpadło na nogę Inny. Wyjaśnienie nasuwało się samo. No bo po co komu możliwość dalekiego widzenia na planecie, kloni jest w rzeczywistości**



**niczym innym jak tylko ogromną kosmiczną pieczęcią, prawda? Wspaniała**

**hipoteza, tylko że nieprzydatna. Przecież miejscowe stworzenia biegały, i to nawet szybko. A gdy ktoś biegnie, to musi mieć wzrok, gdyż w przeciwnym razie nie będzie**

**to jeden z przejawów życia. lecz czyste samobójstwo!**

**Wszystko to, czego świadkami byliśmy już od dłuższego czasu, było nie mniejszym**

**absurdem aniżeli spacer grupy niewidomych po autostradzie. Taki świat nie mógł**

**istnieć, a przecież jak na złość nie tylko istniał, ale na dodatek funkcjonował, i to bez specjalnych zakłóceń. Tego ostatniego nie byliśmy jednak tak bardzo pewni.**

**Nasze bijące na setki metrów reflektory jasnym światłem zalewały grupę domków**

**sprawiających wrażenie opuszczonych. Miało się nieodparte wrażenie, że są to**

**jakiś nieprawdopodobne dekoracje scenicznych desek, z których tylko co zeszli**

**statyści. Że lada chwila rozlegnie się głos reżysera, który oznajmi, że zdjęcia są zakończone, a my odetchniemy z ulgą i rozejdziemy się. Czas płynął i tymczasem**

**nic się nie działo. Po jakimś czasie otworzyły się drzwi i na zewnątrz wyszedł ten.**

**na kogo czekaliśmy. Przyciskając do boku jakieś pojemne naczynie, stworzenie**

**zatrzymało się na moment (światło biło mu prosto w „twarz”), a potem ruszyło**

**przed siebie od czasu do czasu swobodną ręką dotykając liści zwisających z boku**

**ścieżki. I to brnące na oślep stworzenie miało uprawiać otaczające osadę pola?**

**Budowało domy? Polowało? Niemożliwe. Któż więc to robił? Stworzenie**

**niestrudzenie szło do przodu dotykając liści. Nasze reflektory posłusznie**

**wędrowały w ślad za nim wyrывая z mroku nawet zgrubienia mięśni. Nasze**

**ziemskie doświadczenie burzliwie protestowało**

**przeciw temu. co widzieliśmy. Miało się wrażenie, że stworzenie lada chwila**

**odwróci się w stronę płonących elektrycznych oczu. wyda z siebie okrzyk strachu i**

**skryje się w ciemnościach. Nasze palce bezwolnie spoczęły na wyjątkowych.**

trudem powstrzymaliśmy się od wyłączenia reflektorów. Prześledziwszy kierunek ścieżki zrozumieliśmy. dokąd i po co zdąża nasz nieznajomy. Szedł on w stronę małego jeziora Im był bliżej, tym bardziej niepewny stawał się jego krok dookoła wszędzie pusta przestrzeń, Kilka razy pochyłał się dotykając gruntu. Brzeg namacał nogą i zaledwie upewnił się, że ma przed sobą wodę, opuścił naczynie. .

Teraz czekała go jeszcze droga powrotna. Ruszył we właściwą stronę, ale w gęstwinie mignęło ciało jakiegoś zwierzęcia. I to tak szybko, że nie zdążyliśmy nawet dobrze się mu przyjrzeć. Władca domku wyczuł jednak czyjaś obecność. Błyskawicznie odwrócił się i runął w bok od , ścieżki. Po chwili znów zamarł w bezruchu. Nie był człowiekiem, ba, nie był też do niego w ogóle podobny, ale widzieliśmy, jak porusza się jego klatka piersiowa, udzielił się nam jego strach i na moment pomiędzy nami a tym synem wiecznej nocy znikły wszelkie bariery.

Podawali się na równe nogi gotowi w każdej chwili biec mu na pomoc. Było to jednak zbyteczne— intruz zniknął. Mieszkaniec chatki złapał lepiej naczynie, pokręcił swoją zwieńczoną „laurami” głową i ruszył... Jego ruchy nie uległy zmianie: tak samo jak przedtem raz po raz pochyłał się badając grunt pod nogami, choć teraz bardzo przeszkadzało mu wypełnione wodą naczynie. Szedł jednak już nie do chatki, lecz w stronę przeciwną, w tę, gdzie drogę przecinała przepaść. Słyszałem za plecami przyśpieszone oddechy przyjaciół. Ja również byłem bardzo przejęty. Uprzedzić o niebezpieczeństwie? A jeżeli ta przepaść jest mu akurat do czegoś potrzebna?

Zbliżał się do niej nieubłaganie. Od urwiska dzieliło go już tylko kilka metrów. I właśnie wtedy jakby wyczuł, że coś jest nie w porządku Podreptał niepewnie w miejscu, poruszył kilka razy głową, jakby starał się coś zobaczyć, i odbił nieco bardziej w lewo. Ale przepaści nie można już było wyminąć. chyba żeby zakręciło

się w miejscu pod kątem stu osiemdziesięciu stopni i ruszyło do tyłu. Czekaliśmy w napięciu, co zrobi. Od szczeliny dzieliły go już teraz jedynie centymetry. Wtedy

właśnie zatrzymał się. Niezdarna, ozdobiona „laurami” głowa w kręgu światła reflektora... Szybko pulsujący trójkąt ust na bezokiej twarzy—

— Do tyłu. do tyłu! — nie wytrzymała Inna i krzyknęła tak,

jakby stworzenie mogło ją usłyszeć.

Tuziemiec zrobił krok do przodu. Tam, w czerń... Nawet

spadając nie wypuścił z rąk naczynia z drogocenną wodą.

Rozległ się krzyk-..

To. w co nie chcieliśmy wierzyć, okazało się niestety prawdą-

Ten świat był ślepy, ale ślepy od niedawna—

— Wiesz lepiej ode mnie, że tego nie wolno robić — powiedział Zibella-

— Nie mamy wyjścia — powtórzyła Irina-Staliśmy nad ciałem tuziemca nie bardzo

wiedząc, co robić, gdyż wprowadziła nas w rozterkę jeszcze jedna bardzo mądra

zasada. Żeby zrozumieć, jakie nieszczęście spadło na tę planetę, musieliśmy zabrać i zbadać ciało. Ale czy to stworzenie rzeczywiście było martwe? Nie można przecież stwierdzić tego na sto procent bez uprzedniego poznania wyższych organizmów

planety, którymi jeszcze się nie zajmowaliśmy. Nie wiedząc absolutnie niczego o

fizjologii tuziemców mogliśmy bardzo łatwo stać się mimowolnymi mordercami

tego osobnika, który w naszym przekonaniu był martwy, choć mógł po prostu

stracić przytomność. Na dłuższe zastanawianie się też jednak nie mogliśmy sobie pozwolić.

— Proponuję introskopię wewnętrznych organów — powiedziała Irina. — I to tu. na

miejscu, Zibella odpowiedział tak, jak myślałem.

— Oczywiście jest to najrozsądniejsze wyjście. Ale czy możesz

**zagwarantować- że prześwietlenie nie zaszkodzi mu?**

**A poza tym. czy możesz w stu procentach polegać na swej diagnozie i bez sekcji stwierdzić, czy ten osobnik żyje, czy nie?**

**No to kłapa — pomyślałem sobie. — Niczego przecież nie można zagwarantować, jeżeli organizm nie jest podobny do ludzkiego. Ale ostatecznie niby dlaczego?— zapylałem sam siebie rozżalony. — Zwiążaliśmy sobie ręce i nogi akurat wtedy, gdy należy działać, działać i jeszcze raz działać!**

**Gdyby na miejscu Zibelli był ktoś inny...**

**— Tak. — odpowiedziała Irina. — Mogę.**

**Miałem wrażenie, że się przesłyszałem. Ale słowa Iriny były doprawdy niczym w porównaniu z odpowiedzią Zibelli**

**— W takim razie działaj — odpowiedział. Czyżby rzeczywiście nie wiedział, że Irina opiera się nie tyle na**

**faktach, co na swym wewnętrznym przekonaniu?! Zupełnie możliwe. Znacznie ważniejsze było jednak coś innego: nawet teraz Zibella nie naruszył litery prawa!**

**„Rozwiązując szczególnie skomplikowany problem kapitan obowiązany jest**

**opierać się na opinii specjalisty" - głosił odpowiedni przepis. Zibella oparł się więc na opinii specjalisty nie /dojmując jednak ze swych barków odpowiedzialności:**

**mógł milczeć, oponować, a tymczasem wydał rozkaz— i to przyzwalający!**

**I zrozum tu człowieka, którego podobno znasz na wylot! Zresztą nic dziwnego. że go nic rozumiałem. Skoro sprzeczności są nieodłączną cechą otaczającego nas**

**świata, to trudno przypuszczać, że oto kiedyś pojawi się pokolenie ludzi**

**pozbawionych wszelkich nieoczekiwanych zmian charakteru— Nie żyje—**

**powiedziała Irina odrywając się od przyrządów.**

**Przenieśliśmy ciało na statek.**

**To, czego się dowiedzieliśmy, tylko pogłębiło naszą zagadkę. Prześwietlenie zwłok wykazało, że mieszkańcy domków posiadają jednak organ dalekiego widzenia— ów śmieszny „laurowy wieniec” na czubku głowy. Były to ich oczy, choć rejestrujące nie światło, którego tu przecież nie było, lecz ultrakrótkie fale radiowe emitowane przez gwiazdę. Ich radiosłońce w naszym mniemaniu świeciło bardzo słabo, ale dla nich ten mroczny świat wcale nie był mroczny, gdyż ewolucja dała im niewiarygodnie czuły organ postrzegania. Dzięki swym rogom-antenom tak jak i my mogli się rozkoszować zachodami słońca, barwami roślinności, światłem, kołysaniem morskich fal, czyli wszystkim tym, co składa się na widzialny świat, nawet jeżeli jest on światem odbitych fal radiowych, których my nie jesteśmy w stanie sobie wyobrazić.**

**Tak było jednak, zanim oślepli. . Na zewnątrz rogów-anten nie widać było uszkodzeń, po prostu nie funkcjonowały, a my za nic nie mogliśmy zrozumieć dlaczego. Aż się prosily dwa rozwiązania. Pierwsze, to niespodziewana epidemia, a drugie... Otóż gdyby nagle nasze słońce zapłonęło dwa razy jaśniej, to my ludzie nie ośleplibyśmy, gdyż matka natura wyposażyla nas w powieki, oni natomiast ich nie posiadali. Zresztą nie mogło być mowy nawet o odpowiednikach powiek, skoro możliwości przebicia najkrótszych fal radiowych są nieporównywalnie większe aniżeli analogiczne możliwości światła. Tak więc mieliśmy wspaniałe hipotezy, które do niczego nie pasowały... No bo cóż to za epidemia, która tak szybko zaatakowała wszystkich mieszkańców planety? Nie ulega wątpliwości, że nieoczekiwany wzrost radiowej aktywności gwiazdy mógł wywołać taki efekt, ale mieliśmy przecież pomiary, które stwierdzały niedwuznacznie, że przynajmniej w**

**czasie naszego pobytu gwiazda zachowywała się całkiem przyzwoicie.**

**Kłóciliśmy się blisko sześć godzin i rozstaliśmy się wykończeni.**

**Rozwiązanie było gdzieś blisko, czuliśmy to, i poczucie własnej bezsilności denerwowało nas do tego stopnia, że chciało się postąpić z mózgiem tak, jak z nawalającym przyrządem — porządnie go stuknąć. Spałem źle, podejrzewam, że inni też. Starczyło, bym zamknął oczy, i już odżywał obraz postaci znieruchomieła} na dnie przepaści. Słyszałem jej krzyk... Uznałem więc za stosowne otworzyć oczy, choć w kabinie było zupełnie ciemno. Tak ciemno jak na planecie. Nie, tak nie można — pomyślałem sobie. — Nie zrozumiemy niczego, jeśli nie wyjdziemy wreszcie poza granice ziemskich wyobrażeń.**

**Interesujące, tylko jak to zrobić? Cały tok naszych myśli, cała nasza psychologia są przecież tak nierozzerwalnie związane z Ziemią. Nieprawda. Przecież byliśmy już na wielu planetach i czas już najwyższy odciąć się od ziemskich wyobrażeń. Nie uda nam się to całkowicie, ale możemy spróbować. Znacznie gorzej jest na przykład z tymi wyobrazeniami, które wiążą się ze Słońcem. Gdzie byśmy bowiem nie byli, otaczamy się przecież światłem, atmosferą słonecznych promieni. I nic człowiek na to nie poradzi. Możemy wiedzieć i wiemy, że istnieją inne rodzaje światła (wykorzystujemy je nawet). Stworzyliśmy instrumenty, które widzą wszystko inaczej aniżeli my, ale i tak zawsze sprowadzamy to, co za ich pomocą dostrzegamy, do języka widzialnych obrazów lub symboli. Rozum jest naszym przewodnikiem, zaś oczy jego najpewniejszymi doradcami. Spróbuj zamienić je na radio. Nie, taką operację można przeprowadzić na maszynie, ale nie na człowieku. To jest myśl! Trzeba spuścić na powierzchnię planety cybera z radiookiem o tych samych możliwościach, o tej samej czułości, jaką wykazywały ócz;' tuziemców, i**

zobaczyć, co się z nim stanie.

Podeksytowany zapaliłem światło. Jak zawsze po przebywaniu w ciemnościach przez kilka sekund widziałem jedynie do bólu jasne, rozmyte kształty przedmiotów. Tak

właśnie było na planecie — pomyślałem. — Eksplozja, a potem ślepotą i mrok...

Biedacy nie mieli powiek i dlatego. Moje serce biło jak oszalałe. Szukaliśmy eksplozji, gdyż nasze doświadczenie mówiło nam, że oslepić może tylko

niespodziewany, silny wybuch. A jeżeli to nie to? A jeżeli ten stopień radiojasności, który uznaliśmy za normalny, wcale takim nie był?... ^ Tak, to by wyjaśniało wszystko... Właśnie że niczego nie wyjaśniało! Gdyby u nas na Ziemi

słońce raz na milion lat przez miesiąc lub dwa świeciło dziesięć razy jaśniej, to

ewolucja niewątpliwie uwzględniłaby ten fakt. Tym bardziej na tej planecie. Nie

mogło być przecież tak, że gwiazda świeciła jednakowo jasno, a potem ni z tego, ni z owego tuż przed naszym przylotem wybuchła powodując nieobliczalną w

skutkach katastrofę.

A jednak w tym coś jest... Przede wszystkim w zbieżności obu wydarzeń. Jakby

nasz przylot... Jakby nasze zbliżanie się... Nie ubrany pobiegłem do pomieszczenia z aparaturą. Leo był tam jeszcze. Wybałuszył oczy, ale .nie dałem mu dojść do

słowa.

— W jakim paśmie pracują nasze lokatory?

— Zaraz zobaczę. A co?

— Nie wiesz?!

— Pamiętaj wszystko, człowieku, gdy masz tyle spraw na

głowie... Co z tobą?!

Zdążyłem już odczytać wskazania automatów.

— Leo, błagam cię, w przybliżeniu, choć w przybliżeniu

**określ, jaka jest moc naszych lokatorów na powierzchni?**

**Liczba, możesz podać liczbę?**

**Leo podał liczbę. Jeszcze niczego nie rozumiał, a ja**

**wiedziałem już wszystko. Wiedziałem to..**

**Nasze automaty wybrały akurat te częstotliwości fal, na**

**których atmosfera była najbardziej przezroczysta, a które**

**właśnie dlatego były tu „światłem życia”. Tylko że nasze**

**przrządy były mniej czułe aniżeli „oczy” mieszkańców**

**planety, a widzieć chcieliśmy przecież jak najlepiej. I w ten**

**sposób nasze lokatory zapłonęły palącym słońcem. My sami**

**oślepiłszy ten świat, gdyż byliśmy pewni, że cechy ludzkiej**

**fizjologii to nasza i tylko nasza sprawa.**

**Leo mówił coś jeszcze, ale nie słyszałem go. Widziałem**

**czarną planetę, na której przez wiele lat trzeba będzie**

**ratować to, co jeszcze można było uratować. A myśl**

**o czekającym nas piekle, choć może się to wydać dziwne,**

**sprawiła mi ulgę. •**

***Michał Griesznow — Jeszcze jedno martwe miasto***

**— Jeszcze jedno martwe miasto...**

**— Które to już, dziesiąte? Cała planeta pokryta ruinami!**

**— Stara zużyta skorupa...**

**— Gdzież się, do diabła, podziały kosztowności? Przecież chyba je znali. Mieli takie ślicznotki, że... - Ślinka ci na nie cieknie, co. Garry? — zarechotał ktoś.**

**— Dość tego! — krzyknął Thomas Wells. —Trzeba mieć szacunek dla starej**



# cywilizacji.

Był to jedyny rozsądny głos pośród bełkotu pechowców, a przecież napadli go:

— Marzyciel!

Ktoś patrząc na skały i pustynie planety rzucił:

— Podłożyć by tak staruszcze kilka anihilacyjnych... Thomas nie słuchał, do niego należało sprawne lądowanie w pobliżu miasta. Ostatecznie chłopcy mają rację.

Wybrać się na odległość trzydziestu parseków od Wybawcy tylko po to, by oglądać te gruzy, to przecież absurd. Cóż go w gruncie rzeczy obchodzi jakaś stara cywilizacja? Tak jak wszyscy poszukuje złota i diamentów. Ale skarbów na planecie nie było jakby na złość poszukiwaczom. I to nawet tam, gdzie powinny były być. Na nadgarstkach posągów zamiast bransolet ze złota ołowiane tasiemki, a w klipsach ziarna grafitu... Posągi były wspaniałe— to przyznawali obiektywnie wszyscy, obrazy—witraże z kolorowego szkła również. Ale przecież nie wypchają ładowni statku posągami Wenus czy witrażami! Wybawca takiego towaru nie przyjmie, a oni zostaną po prostu wyśmiani. Wredna planeta! Żeby znaleźć taką, na której znają wartość użytkową metali. Martinowi Linkowi powiodło się: natrafił na humanoidów składających hołd złotym bałwanom. Oczywiście znalazł się w szeregach Pierwszych planety, a piwnice jego zamku podobno nadal jeszcze pełne są złotych posągów. Ale Martin to chytrus — za nic nie chce zdradzić koordynatów planety. Zresztą kto . wie. czy nie zniszczył jej już ładunkiem anihilitu. Thomas Wells tak jak wszyscy zazdrości Martinowi. On nie zastanawia się nad tym, co będzie, nie ma szacunku dla ruin. siada tuż przy mieście. Jemu nie potrzeba ani posągów, ani fresków, 'on wolałby coś dźwięczącego i błyszczącego. Wychodzili z

wnętrza statku bez specjalnego pośpiechu. Zdążyły już im obrzydnąć te rozwaliny i pył. Byli rozdrażnieni, bo nie spodziewali się żadnych rewelacji. Miasto, tak jak wszystkie pozostałe, otaczał zewsząd las wielopiętrowych budynków. Ulice wychodziły w pole, jeśli oczywiście można nazwać polem kamienistą, oczyszczoną przez wiatry, równinę, tylko gdzieś tam pokrytą ubogą błękitną roślinnością, jakimiś rachitycznymi krzaczkami. W marnych promieniach zachodzącego Słońca ściany domów odlanych z różnokolorowego szkła prezentowały się niezbyt okazale. Miasto było stare, bardzo stare, miało już za sobą dziesiątki tysięcy, a przecież nadal było piękne, tak jak zresztą wszystko, co zrobili mieszkający tu niegdyś ludzie. Wspaniałe linie portyków, wysokich wież i mostów cieszyły oko. Jeśli oczywiście nie patrzyło się na nie w ten sposób, jak przyjaciele Thomasa •- poprzez pryzmat przydatności do realizacji ich własnych planów. Ulice były szerokie i proste, kiedyś pośrodku rosły pewnie kwiaty, z których teraz zostały jedynie rzadkie, wątłe niebieskie krzaczki. Rakieta stała w odległości dwustu jardów od początku ulicy.

— Idziemy? — zapytał Neil Warren, kapitan, dowódca poszukiwaczy, tak że nie wiadomo było właściwie, czy to pytanie, czy też rozkaz. Chłopcy nie wierzyli mu. Coraz częściej mówiono o nim, że to pechowiec. A pech w kosmosie oznacza przecież wiele zmarnowanych lat i tak niezbyt długiego życia. Tego się niestety nie wybaczają.

— Dość tego! — powiedział ktoś, kogo trudno było poznać po głosie, gdyż głośniki zmieniały tembr, upodabniały do siebie głosy ludzi.

Wszyscy nie wiadomo czemu marudzili, spoglądali ponuro w głąb ulicy, wybierali domy, do których się włamią. Wiatr obsypywał skafandry pyłem. Wszystko dookoła było obce i chłodne.

Stojący ramię w ramię z kapitanem Thomas Wells nagle zachwiał się jakby pod naporem wiatru. Zrobił krok w stronę ulicy, potem jeszcze jeden. Już na pierwszy rzut oka zauważało się coś dziwnego w tym marszu, bowiem coś jakby jednocześnie popychało go to do przodu, to znów do tyłu. Próbował stawić opór, wykręcił się całym korpusem w bok, ale zbyt mocno ciągnęło go do przodu, więc tylko coraz szybciej przestawiał nogi.

— Wells! — krzyknęli w ślad za nim.

Wells nie odpowiedział. Maszerował posłusznie środkiem ulicy coraz szybciej przebierając nogami.

— Wells! — wrzasnęło kilku mężczyzn nie pojmując, o co chodzi. Reszta obejrzała się i w milczeniu obserwowała dziwny bieg kolegi zastanawiając się, czy to jakieś dziwactwo, czy też objaw szaleństwa.

— Wells! Wells! — krzyczeli teraz już wszyscy zagłuszając się wzajemnie.

Wells nie odpowiadał, nie reagował na wołanie. Nie zwalniając, na ich oczach zaczął powoli pogrążyć się w gruncie — po kolana, po pas.

— Wells! — wrzasnęli jeszcze raz. — Wracaj!

Jeszcze przez chwilę nad powierzchnią ulicy błyszczał hełm, ale i on znikł — ulica była znów pusta.

Ludzie giną w różny sposób: w strumieniu meteorytów, w łapach potworów czy z woli innych ludzi. Ale żeby ginęli ot tak, bez krzyku wolno niknąć pod powierzchnią planety

— 'lego jeszcze nikt nie widział.

— Cholera! — Smat oprzytomniał pierwszy. — Biegnijmy tam!

— Biegniemy, chłopcy!

**Ktoś złapał za poręcz schodków.**

**— Natychmiast z powrotem — kapitan osadził ich na miejscu. •-- Nie wolno!**

**— Ale tam przecież... Co z Wellsem, kapitanie?!— zapytał Louis gotów mimo**

**wszystko biec do miasta.**

**— Z powrotem! — rozkazał kapitan i widząc zdziwienie w oczach mężczyzn dodał:**

**— Nie chcę stracić w tych ruinach całej załogi.**

**— A niech to wszyscy diabli...! — zaklął ktoś i ze złości**

**tupnął nogą.**

**Słysząc było przyśpieszone oddechy. Każdy starał się**

**rozwiązać odwieczny problem wyboru pomiędzy**

**obowiązkiem a własnym bezpieczeństwem po swojemu-**

**Wells zniknął, to fakt, ale przecież to nie była ani śmierć,**

**ani zabójstwo. Nie zginął, tylko po prostu zniknął na ich**

**oczach.**

**Może na planecie jest ktoś. kto to zrobił, ktoś, kogo można będzie zobaczyć. Ale przecież on może zrobić to samo z każdym z nich- Trzeba biec.**

**— Biegnijmy! — nastawali jedni.**

**— Co z Wellsem?— pytali naiwnie drudzy, a wszyscy razem spoglądając na miasto kręcili się w jednym miejscu. Czuli strach i nadal niczego nie rozumieli... Wiatr obsypywał wszystko cementowym pyłem.**

**Wreszcie postanowili czekać. Część wróciła do rakiety, reszta pozostała na dole przy trapie. Mieli czekać tak długo, jak długo starczy im cierpliwości. Spoglądali na miasto, to znów za siebie, wciąż niepewni, co się stanie. Co śmielsi proponowali**

**użyć anihilatorów. Owszem, ale przeciwko komu? Przeciw temu martwemu**

**miastu...? Różne myśli chodziły im po głowach, ale jednego byli pewni. Zetknęli się z czymś niezwykłym, z siłą, która mogła**

**być w każdej chwili wykorzystana przeciw nim. A przecież ta siła nie zniszczyła ich.**

**Może więc Wells żyje?... Teraz już nie żartowali, nie kpili sobie z miasta, ze starej cywilizacji. Narastał w nich strach. Ten strach zmuszał do stałego oglądania się za siebie, do biernego oczekiwania na powrót Wellsa.**

**Do miasta nie poszedł nikt, bo nikt też o tym nawet nie pomyślał. A przecież ono**

**było tuż obok. Miasto, jakich wiele na lej planecie. Ale dlaczego — zastanawiał się każdy z członków załogi — dlaczego to się zdarzyło właśnie tutaj ? I właściwie co to było? Dlaczego tylko Wells?... Ot, chociażby Garry, tchórz i lizus. Warren,**

**najgorszy z kapitanów. Czemu nie oni. Przecież kapitan stał tuż obok Wellsa. Mo/e**

**Io chodziło tylko o niego, a nie o kogoś innego? Gdzie teraz jest, co z nim?... Nadal mieli nadzieję, że Wells jednak żyje, że nie zginął. Bo jeżeli to była śmierć, to mogła być ona śmiercią ich**

**—wszystkich. Trzeba czekać. Wells musi wrócić i wróci.**

**Może za godzinę, może nawet za pół.**

**Niektórych ogarniała nieuzasadniona złość. Monotonna równina, miasto, w którym nie ma żywej duszy, kojarzy się z bez-**JAOC**ilyn-ii poszukiwaniami, ryzykiem, na jakie się narażali w kosmosie. Na innych planetach też były pustynie i pyL ale tam nie mogli liczyć na powodzenie swojej wyprawy. A tu... Wszystko zdawało się mówić, że bogactwa tej planety przechodzą ludzką wyobraźnię. Miasta, galerie sztuki. Ktoś się nimi szczycił, ktoś się nimi zachwycił. Gdzie są gospodarze tej planety?... I jeszcze to zniknięcie Wellsa. Trzeba czekać na niego — co do tego**

**byli zgodni.**

**I Wells przyszedł.**

**Słońce właśnie kryło się 72. budynkami. Cienie gmachów wydłużyły się. rozrosf ustawiając jedynie wąskie pasemko światła, ścieżkę po wsiodniej stronie ulicy. Tą właśnie oświetloną dróżką szedł ich kolega.**

**Hurmem wybiegli z rakiety. Pełniący wartę przy trapie też już go zauważyli. Szedł spokojnie, nie oglądał się za siebie i co najdziwniejsze, niósł w ręku kamień.**

**— Po kiego czorta... — pytano się przy trapie. — Po co mu kamień?**

**— Po co?— powtarzano z narastającą ciekawością. Wells wyszedł z miasta. Wszyscy pragnęli jak najszybciej zobaczyć jego twarz.**

**Ale twarz była normalna, spokojna, więc znowu zainteresowali się kamieniem.**

**Kamień też był normalny.**

**— Po jakiego czorta?— znowu zapytał ktoś w tłumie nie-przestających obserwować**

**Wellsa ludzi. W ciszy, jaka zapanowała, każdy miał uczucie, że jest jeden w tym**

**świecie. Tylko on i Wells. Wells idzie w jego stronę i nie wiadomo, czy to on, czy nie on. Na myśl o tym zastęgała im krew w żyłach. Wells podszedł bliżej i powiedział**

**coś, a każdy doskonale zapamiętał te słowa, jakby był to wyrok wzbudzającego respekt sędziego, a nie słowa ich kolegi.**

**— Chłopaki, musimy natychmiast pryskać stąd. Mamy na to równo piętnaście**

**minut. Jeżeli nie posłuchacie mojej rady, czeka nas wszystkich to... — powiedział i rzucił trzymany w ręce kamień. Ten nawet nie dotknąwszy ziemi eksplodował. Fala**

**rozgrzanego powietrza uderzyła w załogę. Ludzie zachwiali się. Na żelaznym trapie**



**zadudniły buty biegnących ludzi.**

**— No więc — powiedział Wells, kiedy dysk planety odpłynął ku tylnym iluminatorom statku—teraz opowiem, co mi się przytrafiło.**

**Dookoła niego tłoczyła się cała załoga. Były tu twarze młode i stare, oczy niebieskie, brązowe, zielone. Brakowało jedynie żartów i docinków. Wellsa znano dobrze, więc wiedziano, że nie rzuca słów na wiatr. A że był to Wells, nie było wątpliwości — przyglądano mu się przecież od chwili powrotu.**

**— Nie wiem, co ciągnęło mnie do przodu — zaczął. — Słyszałem, jak krzyczycie za mną, ale nie mogłem się poruszyć, odpowiedzieć, grunt był twardy, A przecież kiedy zacząłem się w nim zagłębiać, widziałem każdy kamyczek, ziarenko piasku, chociaż nogi znikły bez śladu. Potem zapadły ciemności. Jak długo to trwało, nie wiem, może godzinę, a może tylko minutę. W każdym razie w pewnym momencie utworzyło się nade mną coś w rodzaju korytarza. Stałem na dnie studni. Nade mną i pode mną panowały ciemności, tylko w jednym miejscu jakby nieco rozproszone promieniami światła pochodzącego z niewiadomego źródła. Moja sytuacja nie była najweselsza, ale nie to było przecież, najgorsze. W pewnym momencie zobaczyłem coś. Poznałem. To był mój cień, cień jeszcze ciemniejszy aniżeli mroki studni.**

**Leżał przede mną — czarny, chybotliwy, jedwabny niczym aksamit. Przestraszyłem się... Słuchacze milczeli. Znali wytrzymałość Wellsa doskonale:**

**to przecież on wykruszył anihilatorem zęby gigantycznej megaterii i wy dostał się bez szwanku z potwornej paszczy. Jeżeli więc teraz przestraszył się własnego cienia, to widać było się czego przestraszyć.**

**— Mówię wam - kontynuował Wells— ten cień doprowadził mnie do stanu paniki.**

**Bez wątpienia wrzasnąłbym przeraźliwie, gdybym nagle nie zrozumiał, a raczej**

wyczuł, że nie jestem sam, że tuż obok jest ktoś, kto mnie śledzi. Prawie odruchowo bez zastanowienia zapytałem: „Kto tu?” W odpowiedzi usłyszałem westchnienie. Ale nie było to westchnienie jednego człowieka, lecz prawdopodobnie kilku —jeszcze mi nie odpowiedziano, a ja już wiedziałem, że w pobliżu znajdują się ludzie. Martwa planeta, jak się okazało, nie była wcale taka martwa. I nagle usłyszałem:

— Wiemy, kim jesteście i po co przybyliście. Ale chcielibyśmy również wiedzieć, dlaczego jesteście tacy. Jak " to się stało, że przy takiej psychologii dysponujecie techniką fotonową, poznaliście anihilację. Opowiedz nam o sobie, o swojej

# planecie.

Ten głos był głosem człowieka znajdującego się w zasięgu ręki, gdzieś zupełnie niedaleko. Pomyślałem, że to sen, że zasnąłem w kajucie i ktoś się wyglupia przez radio wyłączwszy mi światło, a oddech dobiega mnie z głośników. Ale to trwało dosłownie moment. Cień pod moimi nogami poruszył się, podniosłem głowę i zrozumiałem, że to wszystko dzieje się naprawdę i muszę — chcę czy nie — odpowiedzieć na pytanie. Ale żeby zaczynać rozmowę w ten sposób?—pomyślałem sobie. — Ładne zwyczaje, nie ma co. Ciekawe, czy mnie widzą? A jeżeli widzą, to dlaczego sami się nie ujawniają?! Czyżbym był w jakimś pojemniku niczym pająk w puszcze? Głos należał do kobiety lub dziecka...

Skłębione myśli przelatywały przez moją głowę niczym liście zerwane przez wiatr.

Już w samym pytaniu było coś dziwnego. Dlaczego jesteście tacy — to ostatnie słowo zostało szczególnie podkreślone. Było najważniejsze w zadanym im pytaniu i

brzmiało jak oskarżenie. A że było nas o co oskarżyć, co do tego chyba nie ma

żadnych wątpliwości. Żeby przynajmniej powiedzieli wprost— jesteście lajdacy, a

nie pytali „dlaczego”, żądając wyjaśnienia naszej historii. Tak jak wszyscy nie byłem mocny w tym przedmiocie, ale kiedy jeszcze myślano, że zostanę kimś

lepszym niż kosmicznym gangsterem, mój dziadek opowiadał mi bajki. Przed

oczyma stanęła mi jego twarz— siwa broda i mądre oczy, w których kącikach

kręciły się łzy.

Dziadek był jedynym heretykiem w rodzinie, zresztą nie tylko w rodzinie, bo i w

Kolegium Znawców, którego również był członkiem. Pod koniec życia właśnie za to

pozbawiono go tytułów oraz przywilejów i pilnowano, by. tą swoją herezją nie

mógł nikogo zatruć. Kiedy opowiadał swoje bajki, zniżał głos do szeptu, a ja

zapominałem wtedy o bożym świecie, chłonąc nowe pasjonujące wiadomości.

Zresztą nie wiem po co, ilekroć bowiem chciałem powtórzyć którąś z nich, mój

ojciec bił mnie po twarzy i syczał: „Cicho. Czy wiesz, co za to grozi?!” A i dziadkowi obrywało się przy okazji. Ojciec darł się na niego jak wariat, że jest „stara żaba” i

„truteń”. Zresztą nie dziwię mu się wcale. Mojemu ojcu nie było łatwo, niczego w życiu nie osiągnął, więc wściekał się na dziadka za to, że staruszek przez własną

lekkomyślność pozbawił się wszystkich godności, na które tak liczyła cała rodzina.

Żał mi było dziadka, bo lubiłem te jego opowiadania, ale nauczony doświadczeniem

nie powtarzałem już ich tak często, by nie lazić z opuchniętą gębą. Co nieco

powiedzieli mi też inni i choć w wielu rzeczach mój dziadek jednak się nie mylił, to bajka pozostanie bajką. I teraz właśnie postanowiłem je wszystkie powtórzyć:

— Ród nasz pochodzi z Ziemi. Dziwne, ale miałem wielką ochotę wyznać całą

prawdę. Może przyczyniały się do tego otaczające mnie ciemności, a może

wyczuwałem, że to szczere wyznanie będzie dla mnie szansą, trzeba przecież było

się wydostać jakoś z tej studni. Najważniejsze, że mnie nie zabili, rozmawiali ze

mną, no i mogłem odpowiadać na ich pytania. Mówiłem więc, co wiedziałem...

— Ziemia była dobrą planetą z łaskawym słońcem

i błękitnymi oceanami. Ludzie żyli na niej tak jak i u nas:

byli biedni, byli i bogaci. Potem biedni powstali przeciwko bogatym, by odebrać im nagromadzone bogactwa i podzielić pomiędzy wszystkich. Walka była długa,

krwawa i zakończyła się w dwudziestym pierwszym wieku zwycięstwem biednych.

Ale zwyciężeni bogacze zdołali zawładnąć statkami kosmicznymi i odlecieli z

Ziemi. Długo "błądzili po kosmosie — aż wreszcie znaleźli planetę, tę na której mieszkamy. Nazwano ją Wybawca.

— Uratowali się — powiedział głos w ciemnościach, jak mi się wydało z ironią.

— Owszem. Uratowali się — odpowiedziałem niechętnie, bo nie lubię, kiedy mi się

**przerywa.**

— Ile lat temu wasi przodkowie odkryli... Wybawcę?

— Czteryście...

— No a co dalej?— zapytał ten sam głos.

**Nic. Żyjemy na Wybawcy odpowiedziałem. Pewnie nie podobało im się moje ostatnie zdanie, ale ja też nie byłem bardzo uradowany tym przesłuchaniem-Czego jeszcze chcą ode mnie?**

— A jak żyjecie?

— Różnie. Jedni mają bogactwa, a inni, tacy jak ja, muszą szukać zdobyczy w kosmosie. Ci, którym się nie udało ani jedno, ani drugie, służą bogaczom. W ciemnościach długo milczano, a potem zapytano:

**A co z Ziemią?...**

— U nas nie wolno mówić o niej. Może ktoś z Pierwszych wie coś konkretnego na jej temat. Inni już zapomnieli.

— Zapomnieli?...

— Owszem. Nikt nie zna nawet jej położenia.

— A gdybyście je poznali?— znów zadano mi pytanie. Wzruszyłem ramionami — dość już miałem tych pytań. Ale oni milczeli czekając odpowiedzi, więc warknąłem:

— Pokażcie się.

— Po co?—zapytali mnie.

— Porozmawiajmy jak równy z równym. Wy mnie widzicie, a ja was nie. To nie

**fair.**

**Znowu coś jakby śmiech zabrzmiało w ciemnościach. Ubodło mnie to do żywego:**

**bawiono się mną jak małym kotkiem!**

**— Pokażcie się—powtórzyłem. Ciemności błyskawicznie znikły. Miałem przed sobą**

**kwadratową salę, jedną z tych niezliczonych sal ozdobionych posągami i obrazami,**

**które widzieliśmy we wszystkich miastach. Błyszcząca, pełna powietrza wyglądała**

**jak wypełniona ogromną kroplą rosy. Na jej środku, w odległości dwóch jardów,**

**stał wąski, długi, ciągnący się przez całą długość stół, a właściwie ława. Za tym stołem na wprost**

**mnie siedzieli oni. Było ich troje. Dwie dziewczynki i chłopiec. To oni rozmawiali ze mną, rozumiecie?! Zasmucilem się. Myślałem, że ujrę**

**Ekspertów w chlamidach i opończach, a miałem przed sobą jedynie bosko piękne**

**dzieci.**

— Skąd się tu wzięliście?—zapytałem zdziwiony.

— Jesteśmy strażnikami — odpowiedział chłopiec.

— Nie rozumiem - powiedziałem, bo taktycznie nie bardzo wiedziałem, o co chodzi.

— Chronimy planetę — wyjaśnił.

— Przed kim?

— Przed wami...

— Przed nami?...

— Owszem. Przed waszą... załogą.

Pomyślałem o jego takcie oraz delikatności, no i oczywiście  
niezwyklej umiejętności prowadzenia w odpowiedni sposób

**rozmowy.**

— Ale dlaczego ją chronicie?

— Bo to muzeum.

**Byłem oszołomiony: ładne mi muzeum, nie ma co!**

**Zapytałem:**

— Martwe miasta?...

— To dla was one .są martwe.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Spójrz...

**Pokazali mi miasto. Znikła ściana, znów miałem przed sobą równinę, a na niej miasto. Poznałem to miasto po ogromnej kopule nad wewnętrznym hallem białego budynku — galerii sztuki. Dziwiliśmy się, pamiętacie, że kopuła jest ołowiana, byliśmy zdumieni; ile metalu poszło na zwykły dach. Ale teraz kiedy miasto pokazywały mi dzieci, kopuła nie była ołowiana, lecz złota. Zapytałem:**

— Dlaczego złota?

— No bo taka była od samego początku.

— Teraz też jest taka?...

— Owszem.

**Nie uwierzyłem. Przecież kiedy zwiedzaliśmy miasto, nie natrafiliśmy nawet na ślad złota.**

— My widzieliśmy kopułę ołowianą — powtórzyłem tępo. Dzieci uśmiechnęły się i pokazały mi wnętrze galerii — rząd kobiecych posągów, które widzieliśmy. Garry posyłał im wtedy pocałunki... Teraz jednak wyglądały one inaczej: na nadgarstkach



**zamiast ołowianych bransolet złote, a w klipsach i broszkach błyszcząły tysiące brylantów.**

**— Niemożliwe — powiedziałem — tam jest ołów i grafit,**

**— Dla was ołów i grafit...**

**— Dlaczego?**

**Młodzieniec, który dotąd siedział po drugiej stronie stołu, wstał.**

**— Widzisz — powiedział — to jest związane z historią naszej**

# **planety.**

**Mówiąc szczerze, na widok tych dzieci poczułem się nieco pewniej. Jeżeli rozmawiają ze mną i niczego mi jak dotąd nie zrobiły, to chyba się nie odważą... Ostatecznie w naszych ładowniach spoczywają cztery anihilacyjne bomby, które rozniosą planetę. Stałem, myślałem o tym, a im dłużej to robiłem, tym bardziej pochmurny stawał się wpatrujący mi się w oczy chłopiec. Nagle zapytał:**

**— Jesteś taki pewien swoich bomb? Jakby mnie pchnięto nożem.**

**—O czym... ty?...—zapytałem.**

**Dziewczynki roześmiały się, a chłopiec jakby zapominając o zadanym przed chwilą pytaniu powiedział:**

**— Ta planeta nazywa się Olmia. Tu narodziła się i rozwijała nasza cywilizacja milion lat temu. Ale stopniowo wyczerpywały się zasoby naturalne, powietrze rozrzedzało się, słońce grzało coraz słabiej. Przenieśliśmy się więc na , inne planety. Ale po staremu kochamy naszą Olmię. Tu jest nasza historia, kultura i psychotechnika.**

**Zauważywszy, że drgnął mi policzek, bo nie rozumiałem, co znaczy słowo psychotechnika, dodał:**

**— Zamiast diamentów, jak mówisz, widzieliście grafit. To dlatego, że każda nasza rzecz czuje, jakimi oczyma się na nią patrzy. No i kiedy trzeba... zmienia się, broni.**

**Czułem się bardzo głupio — dziewczęta patrzyły na mnie tak jak na okaz morskiego jeża- Nietrudno było zauważyć w ich oczach iskierki rozbawienia. No bo złapano**

nas na tej planecie za rękę, a mnie pociągnięto do odpowiedzialności, rozumiecie?

I na dodatek kpiono tu sobie ze mnie w żywe oczy. To ja im o Wybawcy wszystko, co wiem, ze szczerego serca, a oni rewanzują mi się pokpiwaniem. Mieliśmy bogactwo i wypuściliśmy je z rąk!!

— Nie wierzę — powiedziałem, chociaż byłem przekonany, że to, co mi powiedziano, jest prawdą. Ktoś inny po tym „nie wierę” przestałby ze mną rozmawiać, ale oni — to jednak mimo wszystko były dzieci— postanowili mi to udowodnić.

— Widzisz tę obrączkę? —zapytała dziewczynka zdejmując z palca złoty pierścionek z dwoma barwnymi kamieniami. — Weź ją...

Jak idiota wyciągnąłem przed siebie rękę. Obrączka natychmiast poszarzała, a kamienie zamieniły się w czarne węgliki. Dziewczynka roześmiała się, zrozumiałem, że czas na mnie. Tylko że to już nie zależało ode mnie.

Chłopczek wpatrując mi się w twarz nagle zapytał szczerze:

— Podoba ci się takie życie?

— Jakie tam... życie—machnąłem ręką przypominając sobie tą naszą włóczęgę po wszechświecie, żeby wreszcie coś zdobyć i wyjść na ludzi. Chłopiec spoważniał, dziewczęta spoważniały.

— Jak ci można pomóc?— zapytał znowu nadzwyczaj szczerze. — Może pragniesz wiedzy?... I tu palnąłem największe głupstwo. Pomyślałem sobie, nie powiedziałem, tylko pomyślałem, czy nie będzie można w jakiś sposób sprzedać tej ich wiedzy. I na tym wszystko się skończyło. Chłopiec odskoczył ode mnie jak

oparzony. Skąd też przyszła mi do głowy ta idiotyczna myśl? Przecież mogłem wysłuchać go do końca!... Kto to powiedział: „Stworzony do pelzania latać nie może”? Ach tak, to mój dziadek. Tak też się stało: kto się urodził niegodziwcem, to i myśli ma niegodziwe. Co mogłem sprzedać? Jaką wiedzę mogłem sprzedać? Komu byłaby ona potrzebna?... Ale chłopiec zrozumiał tę durną myśl. Natychmiast rozdzieliła nas przepaść. Nawet jego oczy stały się chłodne.

— I teraz pójdziesz do swoich — powiedział. — Dajemy wam równo piętnaście minut na wystartowanie z Olmii. Piętnaście minut, ani sekundy więcej... Kiedy znajd/iesz się na ulicy, podnieś pierwszy lepszy kamień, który wpadnie ci w oko. Podejź do rakiety, a kiedy będą cięwypytywać, gdzie byłeś, rzuć nim o ziemię i wszyscy przekonają się, co ich czeka, jeżeli nie odleciecie w oznaczonym czasie. Przez chwilę zastanawiał się i dodał:

— I nie róbcie żadnych głupstw... Chłopiec zrobił dla mnie więcej. Pokazał mi raketę stojącą w końcu ulicy. I załogę — tych w kajutach i tych stojących przy trapie. Pokazał mi również, kto o czym myśli. Pan, panie kapitanie, myślał w tym momencie, że już pewnie nie żyję, że trzeba plunąć na wszystko i startować. Garry dla odmiany myślał, że straciwszy w kosmosie dwa lata wróci do domu, do Bitti, z pustymi rękami, a Bitti rozplacze się;

Robert ma już sześć lat, ale nie pójdzie do szkoły, nie będzie porządnym człowiekiem.

Potem chłopiec wstał i czekał na moje pytania. Nie miałem o co pytać. Ciemności zamknęły się dookoła mnie i natychmiast znalazłem się z powrotem na ulicy. Wziąłem kamień, tak jak mi radzono, i przyszedłem do was...

— Tak-k — powiedział ktoś, gdy Wells zakończył

opowieść. — A jednak należało im posłać parę naszych  
anihilacyjnych pigulek.

Wells czekał, co powiedzą inni. Inni milczeli.

Nie wiadomo było, czy ta cisza oznacza, że zgadzają się  
z tą opinią, czy też po prostu w ogóle o niczym nie myślą.

By jednak jego stanowisko w tej sprawie nie wydało się  
czasem komuś niejasne, postanowił powiedzieć, co o tym  
wszystkim myśli — tak jak inni miał do tego ostatecznie prawo.

— Naszych pigulek nie byłbym raczej taki znów pewien — powiedział. — Nie  
zdążylibyśmy pewnie nawet nacisnąć klawisza.

— Do diabła! — przejęty Garry uderzył pięścią w stół. —

Co za możliwości!.. Cóż im tak zależało na tym muzeum?

Mogli nam podrzucić przynajmniej kilka garści diamentów,  
no nie?

Wszyscy znowu zamilkli i znowu wypowiedział się za nich

Thomas Wells. Niezwykłe były jego słowa, jakieś takie

**ponure.**

— Nic na to nie poradzimy, chłopcy— powiedział. — Są światy, w które można wejść jedynie z czystym sumieniem. Podniósł oczy i spojrział na zdobywców.

— Tylko kto z nas wie, co to takiego— sumienie?...

*Dymitr Bilenkin — Niedotykałska*

Oszalaniające, cudowne, prawie zapomniane niebo! Otworzyło się i przyjęło ich; po monotonii kosmosu, gdzie tylko gwiazdy i mrok, po długim zamknięciu znów wicher, ' blask obłoków, morze, stały ląd. Od bijącego w iluminatory światła przygasły lampy. Wyłączyć, jak najszybciej wyłączyć le /aiosnc namiastki słońca! Niech prawdziwe obmyłe powietrzem światło dotrze do każdego zakamarka statku. zetrze ostatni skrawek cienia!

Napływający zewsząd ludzie z malującym się na twarzach uśmiechem niepewnej radości spoglądali jeden na drugiego. Oto wychodzą z katakumb. Oto wydostają się z kosmosu. Poganiane ostrogami niecierpliwości wściekle terkotały express-analizatory. Jest tlen, można oddychać, jest .wiatr, który owieje, jest zieleń i woda, zupełnie jak w kraju. Swierdlin kątem oka zerknął do góry, tam gdzie stygła

jlpletowa dal opuszczonego kosmosu, i natychmiast spuścił oczy. Nie trzeba rozpamiętywać, nie trzeba... Oto nagroda za wszystko. W dół jeden po drugim opadały automaty zwiadowcy. Pojawiły się zajmujące cały ekran hologramy obcego świata. Białe piasek na brzegu morza; uginające się pod ciężarem owoców gałązki; step, ponad którym unoszą się ptaki; wydeptana przez zwierzęta ścieżka...

Wszystko niczym na Ziemi. Prawie jak na Ziemi. Jaśniej niż na Ziemi. Lawina cyfr w okienkach analizatorów. Temperatura, ciśnienie, wilgotność, promieniowanie...

Aparat zachłysnął się i zamilkł: teraz sprawdzał organikę. Bakterie, trawy, wirusy, owady,

**spory, fitocydy, kurz. opadły liście... Ludzie czekali. Denerwując się,  
niecierpliwiąc, marząc. Minął już—jak szybko! — niedawny entuzjazm. Dookoła  
same zachmurzone twarze. I właśnie wtedy, jakby w odpowiedzi na nie ukrywane  
obawy, wszyscy usłyszeli suchy, szorstki głos:**

**— Nie należy spodziewać się niczego dobrego po tej**

**planecie.**

**Wszyscy odwrócili się. Wiadomo, Fiokin, jedyny człowiek, który i wcześniej nie wyrażał radości.**

**— Ty pesymisto! — napadli na niego. — Nie krakałbyś na zapas!**

**Co? zachnął się Fiokin, a jego usta wykrzywił grymas. Chciałoby się pobiegać bez skafandrów? Wiaterkim**

**pooddychać, co? Oj. chłopcy, chłopcy... Nie warto na to liczyć-**

**—A to niby czemu?—zapytał Swierdlin.**

**— Bo tak — już serio odpowiedział Fiokin. — Trzeba spodziewać się najgorszego.**

**Człowiek nie naraża się wtedy**

**na rozczarowanie, gdy coś nie wyjdzie. A przecież — nie wyjdzie...**

**Najprzyjemniejsza radość to niespodziewana radość. Jak widzisz, mój pesymizm daje więcej szczęścia.**

**— Nieprawda— pokręcił głową Swierdlin. — Nieprawda. Spodziewam się po tej planecie wszystkiego najlepszego i sprawia mi to radość. Wstyd przyznać, ale oczekuję również urzeczywistnienia swego małego skrytego marzenia. Wierzę, że znajdzie się tu ten zakątek, którego nie ma na Ziemi, a który śni mi się po nocach. Widzę go. Zagubione jezioro całe w smugach światła i cienia, delikatny piasek pod bosymi nogami, zgrabne, sięgające nieba drzewa, ciepło, cisza...**

**— To nostalgia — zauważył lekarz. — Widzisz nasze jezioro pośród naszych sosen. Nawiasem mówiąc takich miejsc na Ziemi nie brakuje.**

**—Komarów również—dodał Fiokin. Zabrzęczał sygnał i spór został zażegnany, gdyż**



popłynęły informacje. O wirusach i zwierzętach, drzewach i ptakach, kwiatach i mikrobach. O wszystkim tym, co jest życiem, zjawiskiem we wszechświecie znacznie rzadszym niż geniusz wśród ludzi.

— Maski — przeszedł szept. — A więc tylko maski! Automaty przesadzały.

Wprawdzie nieco inne były tutejsze związki białkowe, ale różnica była tak minimalna, że decydowała o wszystkim: obce życie nie mogło zaszkodzić ludziom.

A więc maska była niczym innym jak tylko zbędnym zabezpieczeniem, którego wkrótce będzie się można pozbyć.

— No, Fiokin, czemu się nie cieszysz?—zapytał ktoś.

Mężczyzna zignorował pytanie i nie odezwał się słowem.

Nawet jasne słońce, nie żółte, lecz białe, nie było w stanie zetrzeć pokrywających jego twarz cieni.

Zaczęło się lądowanie. Przy akompaniamencie ryku i grucholu atmosferę przecięło kosmiczne wiertło. Falami rozbiegły się wyładowania elektryczne, strzelało nagrzane powietrze.

I długo jeszcze po lądowaniu nie cichł grom.

Silą — pomyślał Swierdlin. — Bierzemy tę planetę siłą, mocą naszych gigawatów. Niczym wrogą twierdzą. Ale to nic, wszystko uspokoi się.

I rzeczywiście wszystko uspokoiło się. Opadły fale na jeziorach, uleciały zerwane przez huragan liście, znów rozchyliły swe kielichy kwiaty. Wsparty na potężnych tytanowych łapach statek stanął pośrodku wypalonej łysiny pogorzelnisko skutecznie oddzieliło go od świata obcych drzew i traw.

Tego niestety nie można było uniknąć. Taka była instrukcja — sterylizować grunt w strefie lądowania. Zamienić go w popiół. Nie dopuścić do tego, by jakiś powój oplótl łapę. Niby zbytek ostrożności (w każdym razie na tej planecie), ale w innych warunkach statek nie mógłby usiąść, stąd też w dziewięćdziesięciu dziewięciu wypadkach na sto zastrzeżenie to było słuszne. Dzień ustąpił miejsca wieczorowi, przeszła noc, a lokatory wciąż niestrudzenie badały okolicę. Pustka. Wszystko to, co mogło uciekać, dawno już uciekło, a to, co nie mogło, zginęło. Nic nie naruszało spokoju sztucznej pustyni. W odległości dziesiątek, setek, tysięcy kilometrów od statku wciąż sprawdzając i jeszcze raz sprawdzając wszystko kontynuowały swą wachtę automaty. Kipiało tam życie, na wąsach jednego z nich jakiś pajęczek zaczął już tkąć swą pajęczynę, tak jakby zwiadowca był sękatym drzewem. Tylko rozum potrafi reagować na wtargnięcie obcych, ale rozumu tu nie było. a przyroda jednakowo przyjmuje i meteoryt i gwiazdolot. Niekiedy wiał wiatr, a wtedy do statku docierał prócz swądu spalenizny oszalamiający zapach wspaniałych kwiatów i traw. który jak na razie wyczuwały tylko aparaty bezlitośnie rozkładające go na komponenty:

nieszkodliwy, nieszkodliwy... Miliardy bitów nowych informacji usunęły wreszcie ostatnią barierę. Poranna rosa pokryła pogorzelsko, wschód słońca zastał ludzi w drodze. W lesie śpiewały ptaki. Ręce jakoś tak same - z siebie wyłączyły silnik wszędolaza, a ludzie ucichli i słuchali.

Nad drzewami wstawało białe słońce, które wysyłało w zenit promień drżący niczym wbita w niebo kryształowa strzała.

— Ruszamy - powiedział kapitan. Nikt się nie poruszył. a mężczyzna nie nalegał.

Rozpoczął się długi ekspedycyjny dzień.

Wszędolaz pelzł poprzez błękitne korzenie, rozchyłał szeleszczącą trawę, objeżdżał

**grząską czerń blot, ploszył sześcionogie zwierzątka o kawowych zamyślonych  
oczach. brak pochyłości, a jedna nienaruszona dal ustępowała miejsca następnej.**

**Potem ludzie wyszli i stąpali niepewnie po sprężynującej podściółce z**

**czarwonawego mchu. Mieli na sobie lekkie ubrania i tylko maski oddzielały ich od**

**tego wszystkiego, co było dookoła. Można było pochylić się i golą dłonią pogłodzić nie oglądane  
jeszcze przez nikogo kwiaty: można było zadrzeć do góry głowę i dać**

# **przesianemu przez**

**listowie słonecznemu promieniowi polaskotać skórę;**

**można było położyć się na wznak; można było iść nie po prostej... Taki drobiazg,**

**lecz jak wiele znaczył on po miliardzie kroków po prostych korytarzach! Niezwykłe**

**wydawało się nawet to, że obcasy nierównomiernie zagłębiały się w gruncie. Cóż to**

**za wspaniałe uczucie po stale tej samej sprężystości pola na statku! Zapomnieli o**

**rzeczach najprostszych, o tym, że powietrze może obmywać ciało laskawą falą, że**

**chlodek cienia graniczy z żarem słońca, że istnieją wyboje... Ktoś potknął się i**

**upadł, gdyż jego nogi odwykły już od uwzględniania czegoś takiego, jak**

**nierówności gruntu. Leżąc na ziemi człowiek roześmiał się, a w jego ślady poszła**

**natychmiast cała reszta. Tak trzeba — trzeba wyzbywać się niepotrzebnych już**

**nawyków, radować się tym, czego człowiek wcześniej nie doceniał i nie zauważał!**

**Wszyscy jakby oszaleli, bo przecież wrażenia też mogą upoić. Chmiel informacji,**

**alkohol różnorodności, nalewka z zapachów kwiatów! Formuły ostrzegały, że tak**

**będzie. Do diabła z formułami! Planeta jest gościnna, dostępna od bieguna po**

**równik, a oni są młodzi, życie jest jednak piękne! Zdaży się, jeszcze się zdaży.**

**Obserwacje mogą zaczekać. hipotezy też. To ich planeta! Jak miękko ścieli się ona**

**pod nogami, jak wspaniale kołyszą się gałązki, jak czarodziejskie są dźwięki i**

**szelesty, jak powabne są jej dale! Dla jej zdobycia poświęcili wiele lat, ale to**

**głupstwo. Będzie za to teraz nową Ziemią. Wraz ze wszystkimi swymi nietkniętymi**

**oceanami, równinami, lodowcami. Postępu nie da się powstrzymać, lata podróży**

**zamkną się w miesiącach, tygodniach, dniach... Tak było na Ziemi, tak będzie też i w kosmosie.**

**Wszędzie, wszędzie! Śmiało z siebie, człowieku, stworzenie. Uparte.**

**Nie ma dla ciebie granic, a jeżeli nawet będą, to zmieciesz je. Po to przecież został**

**ci dany rozum. Wola. O czym myślisz. Fiokin?**

**...że zabawne to wszystko. A więc mamy to, czego pragnęliśmy. Nieglupio tu.**

**Można rzec, że jesteśmy szczęśliwi. Ale przecież i na Ziemi staje się naszym**

**udziałem nie mniejsze szczęście. Tylko że znacznie szybciej i bez specjalnych**

**trudności. Bez wieloletniego wyrzekania się prostych ziemskich radości, no i bez**

**ryzyka Co innego pójdzie o świcie na ryby, a co innego wędrówka po powierzchni**

**obcej planety, choć z punktu widzenia zadowolenia, jakie stało się twoim udziałem, wychodzi  
oczywiście na Io samo. Cóż więc osiągnęliśmy?**

**...Zwycięstwo, ty zatwardziały pesymisto, zwycięstwo. Rzecz nie w ilości, lecz w**

**jakości. W rzeczach niemożliwych, które uczyniliśmy możliwymi. Wyżej**

**podnieśliśmy głowy, ot co. Mocniej, pewniej. Lepiej rozumiemy samych siebie.**

**Więcej wiemy i możemy. Szczyt dla alpinisty nie jest celem samym w sobie, nawet**

**jeżeli ten tak myśli. Bierze się przecież nie fizyczne wyżyny, lecz duchowe. Bez tego nie ma  
rozwoju, a gdzie nie ma rozw.aju, tam zaczyna się ruch wstecz, i wkrótce**

**zamyka się nad nami wieko trumny. Ot, chociażby ten ptak. tam na niebie. On też**

**rozumie, że życie to ruch. Jak koziółkuje nad naszymi głowami, zatacza koła...**

**Jego upierzenie to cud:**

**lazur i złoto. Boi się nas, a przecież przyciągamy go. Wszystko co nieznane**

**przyciąga, gdyż zwykle tam. gdzie natykamy się na coś nieznanego, czai się**

**niebezpieczeństwo, zaś by przeżyć, trzeba wiedzieć. A nasz ptak wyraźnie chce**

**żyć...**

**Ptak złożył skrzydła. W słońcu błysnęły lazur i złoto, rozległ się krzyk, ale nim**

**ludzie zdążyli się opamiętać, o piersi Swierdlina uderzał trzepoczący, jeszcze żywy kamyczek.  
Przestraszony mężczyzna strząsnął go z siebie, kamyk upadł u jego stóp.**

**drgnął i znieruchomiał;**

**Oszołomieni ludzie spoglądali jeden na drugiego.**

**— Atakował?**

**— Taki mały ptaszek?**

**— Samobójstwo?**

**— Nonsens!**

**— W takim razie co?**

**— Przygotować broń!**

**— Po co?**

**— Na wszelki wypadek. - Przecież nasze białka są diametralnie różne!**

**— Ostrożność nie zaszkodzi...**

**— Uwaga! Z tyłu!**

**Krzak przewrócił się nagle i z jego środka wyleciało zniekształcone prędkością ciała: błysk dezintegratora zamienił je w parę. zanim jeszcze nabrało kształtu.**

**— Do tyłu! — ochryplym głosem krzyknął kapitan. — Do maszyny!**

**Kiedy schodzi lawina, człowiek ma zwykle czas odnotować**

**te pierwsze kamienie, które odrywając się od gruntu ze**

**złowieszczym narastającym hukiem toczą się po zboczu.**

**Potem nie ma już szczegółów. jest tylko spadająca masa,**

**ogromna, wściekła w szybkości swego upadku.**

**Tak było też i tu. Nagle pociemniało, a w chwilę potem coś**

**runęło zewsząd, przemieszało się. Potopem lecących, biegnących, dużych i małych**

**stworzeń ruszyła dosłownie cała planeta. Fioletowe wybuchy dezintegratorów**

**raziły, gniotły, rwały to. co było ciałem r/ucającej się w wir walki przyrody, to.**

**czym ludzie jeszcze nie lak dawno zachwycali się. a co teraz oszalałszy powstało**

**nagle przeciw nim. Biegli wstrząśnięci strzelając do wszystkiego, co żywe, bojąc się i nie rozumiejąc, co się stało, że miejsce idylli zmieniło się nagle w miejsce boju.**

**— Biosfera oszalała! — wstrzymując oddech krzyknął kapitan, gdy pancerz**

**wszędolaza oddzielił ich od żywego potopu. — Szybko na statek!**

**Posłusznie włączył się silnik, przylepiona do pancerza trawa została błyskawicznie zmiażdżona pierwszymi obrotami**

**kół.**

**— Stójcie— mówił z trudem Swierdlin. — No stójcież!**

**Wydaje mi się...**

**— Co?**

**— Patrzcie.**

**Żywa zbita masa, której nie mogły powstrzymać ani wystrzały, ani śmierć,**

**topniała, rozlatywała się bryzgami stworzeń, które natychmiast znikaly, tak jakby**

**to nie one tworzyły jeszcze przed chwilą tę ślepa calość. Wkrótce już tylko grudy**

**zwęglonych trupów mówiły o błyskawicznym starciu. Spokojnie świeciło słońce,**

**drzewa, których listowie ocalało, cicho kołysały się w strumieniach nagrzanego**

**powietrza. Ludzie wciąż jeszcze nie mogli przyjść do siebie, gdyż nigdzie w żadnym gwiazdnym systemie nie zetknęli się z czymś tak potwornie bezsensownym.**

**— Coś mi to jednak przypomina — powiedział biolog patrzący na grudy martwych**

**ciał. na ranę wypaloną w jasnej zieleni obcego świata. — Analogia jest oczywiście**

**czysto zewnętrzna, tym niemniej...**

**— No?**

**— Atak fagocytów. Napaść na wszystko, co cudzorodne...**

**— Nonsens—powiedział kapitan.**

— Nonsens — zgodził się biolog. — Jeżeli dobrze się nad tym zastanowić, to nie można mówić o podobieństwie. Nikt przecież nie napadł na nasze mechanizmy-  
Nikt nie atakował



**naszej rakiety...**

**— I nie atakuje wszędołaza — dodał Swierdlin łapiąc za ', rączkę drzwi. — Dlatego też o wszystkim zadecyduje proste doświadczenie.**

**— Dokąd?! Nie wolno!**

**— Pozwólcie! Skoro nikt nie napadł i nie napada na nas.**

**dopóki znajdujemy się w tym pudełku, to znaczy, że wszystkiemu winni jesteśmy**

**my.**

**- My?**

**- Nasze białkowe podobieństwo, a jednocześnie i niepodobieństwo do lego  
wszystkiego, co nas otacza To nie atak fagocytów Organizm świadomie akceptuje  
metal i plastik, ale już skomplikowane białka odrzuca. — Czyżby to była reakcja  
nie dających się pogodzić różnic?! wytrzeszczy) oczy kapitan. Przecież biosfera  
nie jest organizmem!**

**- Pomysł! niew dziwny, ale "kto wie. może właśnie dla cao słuszny — mruknął po głębokim  
namyśle biolog. Biosfera rzeczywiście nie jest organizmem, lecz to  
wcale jeszcze nie znaczy, że nie jest ona systemem mogącym reagować jako jedna  
całość. Chociaż... Nie. to niemożliwe! Gdzie i kiedy biosfera zachowywała się w ten sposób?  
A gdzie i kiedy była na tyle dostępna, że pozwalała nam obchodzić się bez  
skafandrów?**

**Zachowywała się spokojnie, by tym boleśniej uderzyć? uśmiechnął się Fiokin.**

**A kłóś tu marzył o nowej Ziemi.. Był niepoprawnym optymistą... Swierdlin nie  
odpowiedział**

**Zgadza się na doświadczenie? zapytał.**

**-Tak.**

**N4ężczyzna wyszedł z wszędolaza. z hermetycznego pudełka. z ruchomego**

**więzienia i stanął pośród kwitnących traw. na ile błękitnego nieba, w ciszy leśnego światka. Był  
teraz sam na sam z tak ziemską, tak bliską człowiekowi przyrodą. w**

**głębi której krył się odpór, ślepy i wściekły, gotowy zetrzeć człowieka niczym  
mikroba. Tym razem leż nie trzeba było długo czekać. • . .**

**To, wszystko powiedział przygnębiony Swierdlin zatraskując drzwi, poza**

którymi roily się. kotlowały tysiące stworzeń. — Tu też konieczne są skafandry.

- Potrzebna jest izolacja, by nas nie czuło... No cóż, ruszamy.

, Wszędolaz zawrócił i oddalał się coraz szybciej, szybciej. jakby uciekając od

rozczarowania... Syczą! wentylator tłoczący obrzydłe, sztuczne, chemiczne

powietrze. Za szkłem znikala coraz lo inna wspanialosc obcego dnia. Znowu

zamknięcie - myślał każdy. Ciało w otoczce skafandra, tak jakby dookoła był

lodowaty kosmos. Życie wszędzie nas odrzuca. Bezbronni są tylko martwe światy,

bo nad wejściem do każdego kosmicznego

oerodu z różnych przyczyn niezmiennie płonie jeden i ten sam napis:

..Postronnym wstęp wzbroniony",

Człowiek zawsze musi wszystko oswajać - powiedział Swierdlin. kiedy przed

nimi pojawiła się bryła gwiazdolotu. I nieistotne, czy jest to koń. atom czy też

biosfera. Postęp to nieustanne poskramianie! Ale ostatecznie najlepszym

przyjacielem nie jest len pies. który lasi się do każdego przechodnia... I to jest właśnie najwspanialsze.

*Michał Griesznow — Kwiaty Albarossy*

Dziwne rzeczy zaczęły się dziać właściwie już w momencie lądowania. Planeta

miała dość gęsta atmosferę, więc Grigorij stosując się do obowiązujących od stu lat instrukcji posadzi! rakiety na poduszce powietrznej. Ale przy każdym najbardziej

nawet delikatnym lądowaniu strumień powietrza z dysz zrywa przecież wierzchnią

warstwę gruntu i w efekcie statek ląduje w obłokach pyłu. A tu nic - rakietka

wylądowała nie podnosząc z powierzchni planety nawet odrobiny kurzu. A jeszcze

na dodatek pod każdą z jej ferrytowych łap jak gdyby nigdy nic pochylały swe głowy kwiaty.

Borys i Grigorij patrzyli na nie poprzez szkła iluminatorów.

— Ciśnienie słupa powietrza— cztery tony na centymetr -

**powiedział Grigorij, — Powinno było zgnieść nawet**

**słonia...**

**A kwiaty były całe i nie naruszone...**

**Przyrządy wskazywały na obecność tlenu w atmosferze.**

**dwadzieścia dwa stopnie powyżej zera w skali Celsjusza, oraz**

**całkowity brak w powietrzu biogennych nośników.**

**— Marzę wprost o tym. by dotknąć tych kwiatów gołymi rękami! powiedział**

**Borys, Wychodźmy!**

**— Poczekaj Grigorij włączył odbiornik.**

**— Niby czemu? — zdziwiony Borys zerknął na kolegę. — W ciągu ośmiu godzin**

**oblotu planety nikt nie odpowiedział na nasze sygnały...**

**— Przecież nic na tym nie tracimy, no nie?— powiedział Grigorij wpatrując się w**

**zieleniejące oczko indykatora. Niezadowolony Borys sapał mu nad uchem, gdyż**

**chciał jak najszybciej wyjść na zewnątrz; zwykła niecierpliwość odkrywcy.**

**Wskazówka tymczasem, nie licząc się z niczyimi życzeniami. przesuwiała się powoli**

**po skali UKF-u. W paśmie czterech metrów natrafiła na dziwny dźwięk.**

**— Słyszysz?— zapytał Grigorij zatrzymując wskazówkę i odwracając się w stronę**

# **Borysa.**

— Coś nowego!...—krzyknął Borys.

— Bez wątpienia — przytaknął jego towarzysz.

— Czyżby to był śpiew planety?... A tymczasem / kratownicy głośnika wydobywał się nieprzerwanie ten sam natrętny dźwięk. Był to szum miliona rozgniewanych os. A może brzęk miliona srebrnych dzwonków...

Planetę odkryto trzydzieści lat wcześniej, oczywiście w przeliczeniu na ziemskie lata. Rakiety świetlne pokonały

bowiem zwykły czas, uczyniły z niego czas pokładowy każdego statku. One też wykazały całkowitą nieprzydatność gigantycznych ziemskich krążowników,

którymi tak się szczyciła ludzkość dwudziestego pierwszego wieku. W przestrzeni o wiele lepsze okazały się niewielkie rakiety z dwu- lub trzyosobową załogą. Kiedy więc przygotowywano kompleksową ekspedycję, wysyłano do dwudziestu statków.

Na przedzie szły zwykle ceramitowe rakiety osłony rozcinające obłoki pyłu i torujące drogę, a za nimi jak na sznurku kolejne statki.

Nawet w dwudziestym drugim wieku ludzkość wciąż jeszcze właściwie przymierzała się do przestrzeni. Loty były nadal trudne, tak trudne jak samotne rejsy karawel -ruszających niegdyś szlakami Kolumba czy Magellana. Kosmos nie dawał człowiekowi ani przytulnego światła kabin, ani ich szerokich ekranów.

Każdy lot wymagał od kosmonautów pracy, cierpliwości, niewiarygodnej wprost odwagi i fizycznej siły.

Siódmą kompleksową ekspedycję skierowano do Rygła Oriona w 2111 roku. W

pobliżu niewielkiej białej gwiazdy ludzie odkryli błękitną planetę o atmosferze, w której w ogóle nie było obłoków, i powierzchni równej niczym stół bilardowy.

Leżała ona w odległości czternastu parseków od Słońca. Ludziom bardzo się podobał jej kolor, więc kiedy o odkryciu powiadomiono Ziemię, zaproponowano też od razu nazwę - Zorza. Niestety... Jak się okazało, jedna Zorza była już w gwiazdozbiornie Kasjopei, a druga w gwiazdozbiornie Pawia. W kosmograficznym centrum spróbowano więc pr/ełożyć nazwę na łacinę, języki pokrewne, ale dopiero w staroprowansalskim znaleziono odpowiednik: Alba. czyli świt. Odkrywców nie opuszczał jednak pech: Alb było aż sześć. Na szczęście w końcu znaleziono wyjście — ochrzczono planetę nazwą Albarossa. co Siódmą Gwiazdą w pełni zadowoliło. Wtedy jednak nie zdołano zbadać planety, gdyż zbyt długą drogę mieli przed sobą członkowie wyprawy do Rygla. Miała to zrobić dopiero Dziewiąta, też zdążająca do gwiazdozbiornu Oriona. Flotylla zmniejszyła więc szybkość i tylko rakietą przyjaciół: Borysa oraz Grigorija. mknęła nadal przed siebie z tą samą prędkością... Na zbadanie planety przeznaczono równo czterdzieści godzin. Niby niewiele, ale i tak po tym krótkim pobycie na powierzchni planety mieli doganiać resztę ekspedycji przez ponad dwa tygodnie. W taki właśnie sposób nawigator

# **Lomm oraz mechanik**

**Borys Rożków jako pierwsi ludzie zeszli na powierzchnię**

**planety.**

**Planeta rzeczywiście była piękna niczym wiosenne niebo —  
cała błękitna. Ale to nie ocean czy mgła nadawały jej ten  
cudowny odcień: od równika aż po koło polarne wszystko  
tonęło w kwiatach.**

**— Zwariować można, tak się chce wziąć je w ręce... — mówił Borys napierając  
ciałem na dźwignię hydrosystemu otwierającego luk.**

**— Już. już powstrzymał go Grigorij.**

**Winda /niosła ich na kobierzec z kwiatów. Kabina otworzyła  
się automatycznie. Mężczyźni wyszli na zewnątrz nawet nie  
zamykając za sobą drzwi.**

**Gdyby wiedzieli, co ich czeka...**

**Borys natychmiast przyklęknął. Kwiaty były normalne —  
zwykle błękitne dzwoneczki. Nie, nie, wcale nie zwykle, bo  
nie można ich było zerwać, złamać łodygi.**

**— Drutem przytwierdzone czy co?... — powiedział Borys oglądając czerwoną pręgę**

**biegnącą przez dłoń. Jak zwykle pociągnął za łodygę, kwiatek przechylił się tak, że czuł wilgoć  
jego listków, ale zerwać go się nie dało: łodyga niczym struna ranila**



**palce.**

— Spróbuj ty! - zaproponował Grigorijowi. Ten nie odpowiedział myśląc, że Borys wyglupia się. Czyste potne tlenu powietrze, słońce, błękitna dal przypominająca spokojne morze rodziły w nim dziecięce marzenia o tym. by urządzić sobie wyścigi z Borysem, a potem zwałić się na ziemię i wystawić plecy na działanie promieni słonecznych. Borys powtórzył:

— Spróbuj!...

Wybrawszy nieco większy kwiatek Grigorij szarpnął go mocno w swoją stronę.

Cienka zimna nić wpiła się . w palce. ' ' .

— Tak — tak... — powiedział puszczając lodygę i poruszając obolałymi palcami.

— I co na to powiesz? — zapytał Borys.

— Zapewne to samo co ty...

— Silni chłopcy — rozwinął jego myśl kolega — poskromiciele kosmosu nie potrafią zerwać z klombu głupiego kwiatka. Cóż na to powied/ą dziewczęta?!

— Bez ironii, Boria. To nie są zwykłe kwiaty.

— W ciągu dwustu lat rzeczywiście nikt jeszcze nie spotkał

kwiatów na drucie stalowym.. — folgował sobie nadal

# Borys.

Grigorij wszedł do kabiny i długo szukał czegoś w pudełku z narzędziami. Wreszcie wyszedł z od dawna sprawdzonymi na Ziemi i kosmicznych trasach tnącymi obcęgami. Z trudem, pomagając sobie przy tym obiema rękami, przyjaciółom udało się jakoś przeciąć lodygę-

— To jeden... powiedział Borys, który trzymał kwiatek.

— A pomyśleć, że są tu ich miliardy! Maleńki, lekki dzwoneczek mile chłodził, dłoń.

Na końcu lodygi błyszczała kropla soku. Przyglądali się jej niczym żywemu cudowi, pewnie też dlatego nie od razu dotarł do ich uszu dzwonek, odgłos dzwonka unoszący się nad łąką. Dźwięk był natrętny, jednostajny-- taki sam jak ten, który słyszeli na statku. Odeszli od rakiety na jakieś półtora kilometra. Planeta była mniejsza od Ziemi—do horyzontu tylko ręką sięgnąć.

— Nie ma po co iść dalej — powiedział Grigorij — wszędzie te same kwiaty.

Kosmonauci zatrzymali się.

— Ktoś je przecież musi hodować — mówił Borys o kwiatkach. — Taka planeta nie może być opuszczona:

słońce, powietrze, ciepło, brak tylko gospodarzy. Gdzież oni są?— denerwował się.

Grigorij nadal milczał: on też zadawał to pytanie, ale tak jak kolega nie znajdował na nie odpowiedzi. Odpowiedzi nie było. za to dziwów ile tylko dusza zapragnie.

Powierzchnia planety sprawiała wrażenie wygładzonej, a kwiaty— zasianych.

Gruntu w ogóle nie było widać: nie mogli się przedrzeć do niego poprzez siatkę splecionych ..., lodyg. Przy każdym kroku siatka sprężynowała, poddając się ciężarowi, ale też natychmiast wracała na swoje miejsce. Kwiatów po prostu nie

można było uszkodzić. A w jaki sposób otrzymywały one pożywienie, wilgoć, skoro nad planetą nie było obłoków, o czym przekonali się podczas ośmiogodzinnego oblotu? A ten dźwięk. Co tak dzwoni — niebo, powietrze, kwiaty?... Można co prawda do tego przywyknąć — kosmonauci już to zrobili — ale czym to tłumaczyć? — Jestem pewien, że ta planeta nie jest zamieszкана...— Grigorij oderwał wzrok od morza kwiatów i zerknął na kolegę kątem oka. Odwrócony do niego bokiem Borys stał skamieniały z wybaluszonymi oczyma i patrzył w stronę rakiety, od której wolnym krokiem zdążało w ich stronę dwóch ludzi! Byli to bez wątpienia Ziemiańskie. Szli rozglądając się ciekawie, od czasu do czasu zatrzymując się i gestykulując. Grigorij odruchowo zanotował w pamięci, że jeden ma na sobie pomarańczowy, a drugi błękitny sweter.

W tym samym momencie dojrzał ich twarze. Lelka powoli szli Borys oraz Grigorij... Powtarzali oni te same ruchy, gesty Grigorija oraz Borysa. To były ich sobowtóry!... Kosmonauci nie zaliczali się do lud/i hojaźliwych Borys odbywał swój czwarty lot. Grigorij szósty ale na widok samych siebie, leżąc tu na obcej planecie, pod obcym słońcem, wpadli w zakłopotanie graniczące ze strachem. Borys-drugi zatrzymał się i uwalniał but z ostrych lodyg dzwonek. Grigorij-drugi poda! mu rękę. by towarzysz mógł się na niej wesprzeć... A wszystko było robione identycznie, jak to robili kosmonauci nie dalej jak dziesięć czy dwanaście minut temu. Borys wreszcie uwolnił nogę z pęt i odwróciwszy się twarzą do Grigorija uśmiechnął się, „Powiedział — dziękuję” — przypomniał sobie Grigorij. ^ W tym samym momencie mężczyźni znów ruszyli przed siebie.

— Może ja śnię, Grigorij?—wymamrotał Borys łapiąc kolegę kurczowo za ramię.

Grigorij czuł się niewiele lepiej i pewnie zadałby koledze identyczne pytanie, gdyby na widok mężczyźni nie zapomniał języka w gębie. Sobowtóry tymczasem

podchodziły coraz bliżej. Mężczyźni nie patrzyli jednak ani na Grigorija. ani na Borysa. lecz zerkali na boki. spoglądali na pole. kwiał. lak jakby nie widzieli kosinonaulów. jakby nic było przed nimi nikogo. Z każdym krokiem zmniejszała się też odległość pomiędzy nimi a ludźmi.

— Co to. Grisza?,.. — z rozbijającą dziecięcą naiwnością zapytał Borys. Jeszcze tylko pięćdziesiąt kroków, trzydzieści...

— Ej!...—krzyknął Borys.

Żadnego efektu- Sobowtóry nawet nie raczyły spojrzeć na

—kosmonautów.

— Stójcie!

Sobowtóry nadal się zbliżały. Grigorij-drugi uśmiechnął się i spojrział na niebo— prawdziwemu Grigorijowi przebiegł przez plecy dreszcz — a następnie odwrócił się w stronę Borysa i powiedział coś. bezdźwięcznie poruszając ustami.

— Stójcie!... - krzyknął Borys jeszcze raz.

Nie skutkowało. Jeszcze tylko dziesięć kroków... Borys

groźnie zgiął ręce w łokciach gotując się do obrony, ale

sobowtóry nawet nie mrugnęły okiem. W grobowym

milczeniu Borys-drugi oraz Grigorij-drugi podeszli i złali

się z żywymi ludźmi.

Ale to nie było najgorsze: od strony rakiety szła następna

para. a z windy wychodziła trzecia...

— No tośmy wpadli, nie ma co! — powiedział Borys ocierając pot z czoła.

— Nie wiesz nawet, ile dałbym za to. by znaleźć się teraz na naszym

# **kosmodromie...**

**I oto na miejscu trzeciej pary oraz rakiety jak na zawołanie wyrósł dworzec kosmiczny - siedmiopiętrowy biały gmach. w którym kosmonauci znali dosłownie każde okno. każdy występ, każdy szczegół architektoniczny. Borys obejrzał się: hen w dali na linii horyzontu stało kilkanaście rakiet. samochody-cystemy. a nie opodal nich wznosiły się kopuły hangarów. w których przeprowadzano przeglądy oraz remonty powracających z kosmosu rakiet. Było więc wszystko to. co chciał zobaczyć, a co powinno było być na kosmodromie Słoneczny Gaj leżącym w stepie**

## **w rejonie Morza Czarnego.**

**Druga para sobowtórów była już niedaleko: Borys znów zatrzymał się dla uwolnienia buta. a Grigorij podał mu rękę. Borys sobowtór uśmiechnął się. poruszył ustami...**

**— Odejźmy na bok — zaproponował Grigorij. Odeszli nie przestając jednak obserwować sobowtórów. Ci, jakby nic-się nie stało, podeszli do miejsca, gdzie jeszcze niedawno kosmonauci spotkali swoich pierwszych sobowtórów, i stanęli zastanawiając się nad czymś. A potem Borys-drugi obejrzał się i znieruchomiał**

**zdumiony.**

**— Zobaczył drugą parę— skomentował wydarzenie Borys (ten prawdziwy) i**

**splunął. Grigorij za wszelką cenę starał się zrozumieć sens tego. co rozgrywało się na jego oczach, ale niestety... Jediną rzeczą, jaką mógł zrobić, było przyznanie**

**racji Borysowi: obaj mieli w tym momencie strasznie głupie miny. • • •**

**Druga para zwróciła się twarzami w stronę rakiety, czyli leni/ fasady**

**zaczarowanego dworca, i drepcząc w miejscu oczekiwała nadejścia trzeciej pary.**

**tej. która akurat wyszła ze ściany. Potem wchłonawszy ją w siebie i bezdźwięcznie**

**wymieniwszy pomiędzy sobą kilka słów ruszyła w stronę Borysa oraz Grigorija.**

**zostawiając na miejscu trzecią parę, która znów się pojawiła i teraz oczekiwała**

**czegoś wpatrując się w fasadę budynku.**

**— Gdzie rakietka?... —zapytał szeptem Grigorij Borysa. Jego słowa nie zdążyły**

**przebrzmieć, kiedy tam gdzie spoglądał, przy lewym podjeździe dworca, pojawiła**

**się rakietka. Druga z kolei wyrosła tam, gdzie spoglądał Borys, w ścianie budynku. Z**

**tej samej ściany wyszła po chwili kolejna, już czwarta para w tych samych dobrze**

**znanych swetrach.**

— Mam tego dość!... —jęknął Borys i nie zwracając uwagi na sobowtóry ruszył pędem w stronę rakiety. Grigorij z trudem nadażał.

Dolny luk statku był otwarty podobnie jak drzwi windy. ' Chciał za nie chwycić, ale ręka przeszła przez nie na wylot...

Po godzinie na całej przestrzeni błękitnej łąki stało w sumie osiem rakiet, część ulicy, przy której mieszkał w Odessie Grigorij. aleja piramidalnych topól, a po całym terenie wędrowały pomarańczowe i błękitne zjawy. Przyjaciele starali się w ogóle o niczym nie myśleć.'nie mieć żadnych życzeń. Mieli już doświadczenie: wystarczyło tylko o czymś pomyśleć - o budynku dworca kosmicznego czy czymkolwiek -- a wszystko to natychmiast pojawiało się przed oczami i już nie można się było tego pozbyć. W ten sposób pojawiła się statua pioniera i pionierki widziana przez Borysa w jednym z zakątków nadmorskiego parku. spiczasty koniec reklamy kinowej, klomb z kwitnącym'; tloksami. para krągłobokich fal... Do drobiazgów można było jeszcze przywyknąć, ale gorzej, jeżeli pojawiały się takie budynki, jak dworzec. W ścianę można było wsunąć rękę, wejść, ale wytrzymać tam w środku w tych ciemnościach i niewyobrażalnym chłodzie nie było możliwe. Borys wpadł do środka dworca, zaraz jednak wyskoczył do Grigorija: ciemności pochłaniały dźwięki do tego stopnia, że nie można było określić, gdzie został przyjaciel. Spróbowali wejść biorąc się za ręce. ale natychmiast stracili orientację i prawdopodobnie przypadkowo wyszli z powrotem na słońce. Potem z pół godziny obserwowali sobowtóry, które przenikały poprzez ścianę i wyskakiwały z powrotem — obrazek nie zaliczał się do najprzyjemniejszych...



— Co będziemy robić? — zapytał Borys potrząsając głową. jakby odpędzał głupi

**sen.**

— **Trzeba obejść dworzec. Rakietą powinna być gdzieś za**

**nim.**

**Ruszyli wzdłuż ściany budynku, skręcili za róg.**

**Niestety na ich drodze wyrósł duży dom do połowy**

**pochłonięty przez dworzec; za nim pobłyskiwał aluminiowy**

**hangar.**

**— Cholera!—zaklął Borys.**

**Trzeba było zawrócić do centralnego wejścia na**

**dworzec.**

— W ten sposób stworzymy wokół siebie zamknięte koło z domów i hangarów!... —

wściekał się Borys:

— Nie myśl o niczym! radził mu Grigorij.

W tym samym momencie wyrósł przed przyjaciółmi przysłaniający lewą część dworca teatr z ich kosmicznego miasteczka. Jedna strona wznosiła się wyżej od drugiej, jakby budynek pochylił się w wyniku trzęsienia ziemi.

— Nie mogę! — Borys złapał się za głowę. — Grisza, nie mogę. rozumiesz?...

— Weź się w garść!...

— One nas zgniotą! — jęknął Boria wskazując budynki. Nutka rozpaczony w jego głosie

nieprzyjemnie drażniła słuch, ale Borys nie zauważył tego. „Tylko nie poddawaj się strachów i — powtarzał sobie raz po raz — nie poddawaj się strachowi! Może Io

niezrozumiałe, ale nie należy ulegać -panice". Kiedy tak sobie powtarzał,

jednocześnie uważnie rozglądał się dookoła, jakby oczekując pojawienia się czegoś

jeszcze bardziej niezrozumiałego, a to oczekiwanie tylko potęgowało strach.

Słońce znikło za horyzontem i kosmonautów błyskawicznie otoczyły ciemności

**nocy.**

**— Gdyby to wszystko było tylko snem... — mamrotał**

**Borys układając się do snu na kwiatach tuż obok**

**kolegi.**

**Ciemności uratowały ich od stworzonych przez nich samych  
widziadeł. Nie było widać ani sobowtórów wędrujących po  
łące, ani teatru, ani topolowej alejki.**

**— Gdyby... — zgodził się z kolegą Grigorij nie znajdując odpowiedzi. Jedną jedyną  
myśl chodziła mu po głowie: żeby tylko nie zwariować, żeby tylko...**

**Ranek nie zmienił niczego w ich sytuacji. Nadal majaczyło przed nimi gmaszysko  
portu kosmicznego, aluminiowy hangar tuż za nim, nadal salutowali marmurowi  
pionierzy. Nadal też po łące krążyły sobowtóry...**

**— A niech was diabli... - z nienawiścią pogroził im kulakiem Borys. który źle spał tej nocy  
udręczony położeniem, w jakim się znajdowali.**

**— Trzeba się przebić do rakiety! — powiedział ostro Grigorij. Jego nastrój był  
niewiele lepszy, ale przynajmniej starał się panować nad sobą.**

**— Jak to, przebić się?...**

**Grigorij zdjął z siebie pomarańczowy sweter zrobiony  
z grubej wełny.**

**— Trzymaj! - powiedział podając go Borysowi i spokojnie zaczął go pruć. Wyszedł z  
tego solidny kłębek nitki koloru pomarańczy.**

**Teraz określimy kierunek. Staliśmy tak - powiedział Grigorij wskazując  
widziadła stojące na tym miejscu, skąd kosmonauci po raz pierwszy dojrzeli  
sobowtóry. -I patrzyliśmy tam — Grigorij wskazał następną parę wychodząca ze  
ściany dworca. — Ida od rakiety, a więc stańmy im na drodze.**

**Nieprzyjemnie było stawać twarzą w twarz z sobowtórami i czekać, aż przejdą  
przez nich. ale nie mieli innego wyjścia.**

— No... — powiedział Grigorij. kiedy sobowtóry wreszcie przez nich przeszły. - No i przeszły...  
— powtórzył z ulgą. ale tak. by tego nie zauważył Borys. Sobowtóry

przeszły niby bezdźwięcznie, niezauważalnie, ale przecież już samo zetknięcie się z nimi wywoływało dreszcze.

— Idioci... - wzruszył ramionami Borys oglądając się do tyłu. "'

— Podejźmy do ściany — Grigorij celowo nie zwrócił uwagi na zachowanie kolegi:

denerwowanie się na sobowtóry było idiotyczne. — Trzymaj — powiedział do

Borysa — i uważaj, żeby nitka była naciągnięta. Nawinawszy koniec nitki na rękę i

pochyliwszy się do przodu, jakby opierając się naporowi wiatru. Grigorij wszedł w

ścianę budynku. Borys rozwijał kłębek zauważając przy okazji, że nić znika w

ścianie coraz wolniej. Cztery, pięć kroków i nić zwisała. Borys podciągnął ją, ale bez rezultatu.

Drgnęła raz. drugi i znów opadła. Borys oczywiście pośpiesznie

pociągnął ją do siebie, nić wyprostowała się na chwilę, ale zaraz znów opadła tak.

jakby Grigorij cofając się bardzo się śpieszył. Szarpnął jeszcze kilka razy próbując naciągnąć nić. przedostać się dalej w głąb, a potem nić znowu osłabła i ze ściany

bokiem, niepewnie wyszedł Grigorij. Twarz jego była fioletowa, oczy pełne strachu.

— Nic puszcza... — Grigorij przykucnął ciężko dysząc i rozcierając zmarznięte

dłonie. — Wyrzuca i atakuje strachem...

Borys patrzył na kolegę. Kłębek wraz z kilkoma metrami rozwiniętej nici leżał na

kwiatach. Słońce, które uniosło się nad dach dworca, oświetliło kłębek, zaplątało

się w jego pomarańczowych splotach.

— I to wszystko?— ze zdziwieniem zapytał Grigorij oceniwszy na oko ilość

rozwiniętej nici. Ściana tymczasem wyrzuciła drugiego Grigorija z fioletową

twarzą i splecionymi rękami.

— Do diabła!...—zaklął prawdziwy Grigorij. Jemu także zaczynało działać to



**wszystko ha nerwy.**

**— Chodźmy stąd! — powiedział pociągając za sobą Borysa. Odeszli od ściany dworca kosmicznego. Grigorij milczał, ale Borys cierpliwie czekał, choć zakipiała w nim złość. Z natury impulsywny nie cierpiał rzeczy niejasnych. Lecieć do Oriona. proszę bardzo, walczyć z kosmosem też — ostatecznie kosmonauci robią to od dwustu lat. czasem nawet giną. Ale tam przynajmniej jasne są przyczyny i skutki: piaski na innych planetach, wulkany... Tu nad głową niebo, srebrzysty dźwięk. I ty sam na sam ze sobą. powtórzony tysiąc razy. Po co? Komu?**

**— Wydawało mi się — powiedział na koniec Grigorij — że błądziłem w tych ciemnościach bez końca. Pełna utrata poczucia czasu, rozumiesz? Ciemności nie tylko pochłaniają światło i dźwięk — one niszczą czas. To jest najgorsze. Runąłem w otchłań bez dna. ovladnął mną strach. Prócz. nieskończonego upadku niczego nie pamiętam... W kosmosie też niełatwo, ale tam przynajmniej są gwiazdy. Borys. Tu natomiast nic prócz strachu. Nie rozumiem, jak mnie stamtąd \\ylaszcz/ylcś... Tam chyba nie ma również powietrza, bo nie pamiętam, że bym oddychał.**

**Chaotyczna relacja Grigorija niewiele wyjaśniła Borysowi. Protestował każdą komórką swego ciała przeciw sytuacji, w jakiej się znaleźli. Ktoś lub coś bawiło się nimi., a najgorsze było to. że Bóg wie czym mogła się skończyć ta zabawa. Borys widział ich bezsilność w starciu z nieznaną planetą, ale niczego nie mógł niestety zrobić. Doprowadzało**

**go to do wściekłości, której efektem było jeszcze większe**

**osłabienie.**

**Wreszcie zapytał wprost:**

**— Dostaliśmy się w pułapkę?...**

**— Nie wiem. Borys. Nic nie wiem. Przebić się poprzez ciemności do rakiety nie  
zdołamy. Trzeba gdzie indziej szukać ratunku. Jeżeli to pułapka, to czyja i po co?**

**Słońce nieubłaganie wędrowało w stronę zenitu. Doba na tej planecie liczyła sobie  
osiem godzin dnia oraz osiem godzin nocy. Planeta obracała się w płaszczyźnie  
równika, nie było więc stref czasowych,**

**— Borys— powiedział nagle Grigorij.**

**— Co?**

**— Zauważyłeś może, że sobowtóry nie mają cienia? Rzeczywiście. Ani sobowtóry,  
ani topole, ani budynki dworca kosmicznego nie rzucały nawet najskromniejszego**

# **cienia**

— Diabelska planeta — znów zaklął Borys. -- Same zagadki!

— A poza tym — kontynuował Borys — chce ci się może jeść lub pić?

— Nie chce...

— A ile czasu minęło od naszego przylotu?

— Doba.

— Cóż więc to znaczy?

— Zabij mnie... — zaczął Borys.

— Obce życie, Borys. Rozumne życie! Weszliśmy w kontakt z obcym rozumnym życiem.

Grigorij wypowiedział to, co zrozumiał chyba już po pierwszej godzinie pobytu na planecie. Nielatwo było jednak przyznać się na głos, przyznać się do tego, że żaden z nich tego życia nie rozumie. W czym tkwi bowiem sens nieskończonego krążenia sobowtórów? Co znaczą ciemności i stojący wewnątrz budynków czas?... Czym są kwiaty?... Przez dwa stulecia poszukiwań rozumu we wszechświecie ludzie wypracowali już sobie pewien standardowy obraz rozumnego stworzenia: bracia w rozumie muszą być podobni do ludzi, wykazać się dobrą wolą oraz chęcią wzajemnego zrozumienia się — powstał tzw. homocentryzm. Co prawda w połowie XXI wieku ktoś jeszcze próbował uzasadnić tezę, iż nosiciele rozumu niekoniecznie będą podobni do ludzi, że rozum może równie dobrze występować w postaci pleśni, ale nikt nie brał tego serio. Triumfy święcił homocentryzm. — W takim razie stawiamy sprawę jasno — powiedział Borys. — W jakim celu to życie uczyniło z nas swoją zabawkę, bezsilne mięczaki?

— Może w ten sposób sprawdza nasz rozum, bada, w jaki sposób wybrniemy z

**sytuacji.**

— Chcesz więc powiedzieć, że to egzamin?...

— Owszem. I to wcale niełatwy egzamin. Dlatego też, by oceniono nas właściwie, za wszelką cenę musimy szukać honorowego wyjścia.

— Ale jakiego?... . • , . '

— Po pierwsze, musimy przestać się miotać jak szczury w pułapce.

— Hmm... — mruknął Borys. — A po drugie?

— Nie okazywać wrogości.

— Wiesz. Grisza — westchnął Borys — gdybym miał teraz w rękach neulrinowy pulsator...

Borys nie zdążył nawet dokończyć zdania, kiedy w jego rękach pojawiła się bron.

I nie było to bynajmniej złudzenie: oznaczony monogramem „BR” pulsator obciągał ręce ku ziemi. Bezpiecznik nie był przesunięty.

Oszołomiony mężczyzna nie mógł oderwać wzroku od broni.

— Rzuć to... — powiedział cicho Grigorij.

— Rzucić?...

— Rzuć! — powtórzył Grigorij.

— Dobrze — powiedział Borys — rzuć. Ostatecznie zawsze w razie czego zdążę go podnieść.

— Nie myśl o nim — powiedział Grigorij odprowadzając go na bok. — Widzisz... Na usprawiedliwienie planety można by powiedzieć wiele rzeczy. Mogła zniszczyć

przybyszy już w momencie opuszczenia przez nich rakiety, ba, mogła w ogóle nie dopuścić do lądowania. Mogła również po zapoznaniu się z nieproszonymi gośćmi uśmiercić ich, rozłożyć na atomy, udusić mgłą. A przecież mimo wszystko tego nie zrobiła Powielala ich tylko w nieskończoność, przekształcała ich myśli w realne obrazy. Nie dała im także zginąć z pragnienia i głodu. Dlaczego są syci. nie wiedzą obaj. Niezrozumiale jest zresztą wszystko, z czym stykają się w tym świecie.

Dlaczego na przykład nad planetą nie ma obłoków, choć powietrze jest wilgotne?

Może to wszystko to tylko pozory, natomiast życie kryje się pod powierzchnią?...

Kwiaty—czym są kwiaty? Elementami systemu energetycznego czy klatkami gigantycznego mózgu.

— Jak długo będziemy przebywać w tej niewoli? — zapytał rozdrażniony Borys.

— Nie wiem — odpowiedział zgodnie z prawdą Grigorij.

— Cóż więc mamy robić?

— Czekać. I myśleć o tym, w jaki sposób wybrnąć z sytuacji. Nie tracąc przy tym twarzy... Borys roześmiał się.

— To tak jakby liczyć na pogodę na morzu...

— Weź się w garść! — rozkazał Grigorij.

Tej nocy nie mogli zasnąć.

— Kiedy mogą po nas przylecieć?— zapytał leżący na brzuchu Borys.

Pozycja nie była co prawda najwygodniejsza, ale lepsze to niż patrzeć na gwiazdy i czuć się ich więźniem.

— Nie wcześniej niż za miesiąc— odpowiedział Grigorij. Dobrze rozumiał Borysa:

towarzysze wkrótce domyśla się, że coś się stało, ale na pomoc przylecą nie wcześniej niż za miesiąc.

— Nie wytrzymam...—powiedział Borys. Grigorij nie odpowiedział. — Nie

wydostaniemy się stąd! — przemówił Borys zbliżywszy do Grigorija swą białą  
twarz. — Czuję, jak  
mnie obserwuje coś ogromnego, milionokiego, bada, dotyka, odczytuje myśli.  
Może zabić, może się ulitować, zostawić ot lak, jak teraz, w niewoli, zapomnieć o  
mnie. Lepiej tysiąc razy zginąć w kosmosie, wbić się w asteroid — tam  
przynajmniej wszystko jest jasne. Ale być bezsilnym królikiem... nie wytrzymam,

**Grisza.**

— Śpij! — odpowiedział krótko Grigorij.

**Borys przysłonił rękami twarz. Słysząc było jego ciężki**

**oddech.**

**Grigorij nie mógł pocieszyć kolegi, gdyż sam również widział beznadziejność ich położenia.**

**W ciemnościach nadal krążyły widziadła, podchodziły do nich, bezszelestnie kładły się obok. Grigorij starał się nie patrzeć na boki, ale niestety już poddał się temu dwunastominutowemu rytmowi, w jakim obok pojawiały się sobowtóry. Otwierał wlewy oczy i za każdym razem wzdrygał się cały. gdy kolejny, nie wiadomo który z rzędu sobowtór pochylał się nad nim. Rzeczywiście, nietrudno zwariować.**

**Ostatnim wysiłkiem woli rozkazał sobie: śpij.**

**Udało mu się zdrzemnąć, ale sen nie był długi, bo zaraz obudziło go cichutkie szuranie. Otworzywszy oczy Grigorij zobaczył, że Borys podniósł się, postać chwilę nieruchomo w miejscu, a potem ruszył w ciemności nocy.**

**— Boria! — krzyknął za kolegą.**

**Borys bez słowa przyśpieszył. Grigorij poderwał się na równe nogi i ruszył za nim.**

**Obaj dobrze zapamiętali, gdzie leżał neutrinowy pulsator. To było po lewej stronie marmurowych schodów, przy ostatnim stopniu. Teraz biegli tam obaj — oddaleni**

**jeden od drugiego o jakieś dziesięć kroków. Grigorij dopędził Borysa akurat wtedy, gdy ten przykucnąwszy starał się namacać rękami leżący gdzieś pośród kwiatów**

**pulsator. Złapali za niego jednocześnie.**

**— Nie wolno!... — syknął Grigorij.**

**— Odejdź! — odpowiedział z groźbą w głosie Borys.**



— Boria!...—Grisza, któremu Borys wykręcał rękę starając się w ten sposób wyrwać pulsator, usiłował uspokoić kolegę.

— Zniszczę to... zgnile jajko... Puść!

— Rożków! — krzyknął Grigorij uderzając kolegę w piersi. Borys zachwiał się, na moment uchwyt osłabł. Grigorij natychmiast to wykorzystał. Wyrwał pulsator, zamachnął się i posłał go w mrok dworca kosmicznego.

— Wracaj! - powiedział do Borysa, który zamierzał wskoczyć do budynku. — Opanuj się!

Borys jak dziecko chlipnął pod nosem, sflaczał i bez oporu dał się odwieść od stopni dworca.

— Obu nam niełatwo — mówił Grigorij. •— No co, zastanowimy się, co zrobić?

Zasnęli po chwili uspokojeni.

Borys obudził kolegę krótko przed świtem:

— Grisza...

Grigorij podniósł się, usiadł.

— Coś się zmieniło — powiedział Borys. — Tylko co? Grigorij z minutę milczał.

— Przestało dzwonić! — powiedział.

— Prawda — zgodził się Borys. — Ale dlaczego?...

W oczekiwaniu świtu siedzieli wsłuchując się w nieskończoną ciszę.

Świt nie przyniósł żadnych zmian: po polanie wędrowały sobowtóry, walczyły w pobliżu stopni o neutrinowy pulsator, a potem pogodziwszy się zgarbione szły w ich

stronę. Borys zgrzytnął zębami.

Grigorij, który zapragnął nieco rozerwać kolegę, zaczął opowiadać starą rosyjską baśń: .

— Wilk zamierzając dostać się do owczarni znalazł się... Borys spojrzął mu w oczy i powiedział, że Grigorij zamilkł: nici z bajki. Sam zresztą czuł, że nie brzmi to naturalnie.

Ostatecznie to przecież nie jest wina Borysa, że znaleźli się w tak parszywej sytuacji. Tu potrzeba psychologów, fizyków, a Borys to mechanik. Ale jeżeli normalny człowiek kapcieje do tego stopnia, to niedobry znak — myślał Grigorij patrząc na tępe, bezmyślne krążenie sobowtórów. Czyż może być coś jeszcze gorszego? Nie mieli tu nic do roboty. Absolutnie nic, a to upodabniało ludzi do zwierząt. Człowiek jest człowiekiem tak długo, jak długo znajduje się w wirze pracy, w ruchu. Wystarczy jednak zdjąć z jego ramion te zajęcia, by przekształcił się w amebę. Borys ciężko podniósł się z kwadratowego koberca — ot po prostu dlatego, by nie widzieć kolejnego starcia w pobliżu stopni dworca. Grigorij poszedł w jego ślady. Na trasie Borysa wyrosły morskie fale, ale tym razem mężczyzna wcale nie zamierzał ich omijać.

— Zgiń! — warknął popychając jedną z nich butem. I fala znikła! Mężczyźni zatrzymali się. Obu zaparło z wrażenia dech w piersiach: kolejny sen czy też wreszcie koniec koszmaru?... Borys odwrócił się i spojrzął na Grigorija. Ten wciąż patrzył w to miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą widzieli fale. Były tam teraz tylko kwiaty, tylko kwiaty. Borys powoli podniósł nogę w następnym

**kopniaku.**

— Przepadnij! — krzyknął i ile sił pchnął ją butem. Fala znikła.

— A-h-a-a-a!... — wrzasnął jak szalony wkładając w głos caia swa siłę i nadzieję, a polem utkwivszy wzrok w rakięcie stojącej w pobliżu dworca kosmicznego

rozkazał:

— Przepadnij! Rakieta znikła.

— Przepadnij! — warknął w stronę klombu floksów. Floksy wyparowały, jakby ich w ogóle nie było.

— Przepadnij! — mruknął na pochylony teatr. Teatr bezdźwięcznie zniknął.

— Przepadnij! — zacisnął kulaki Borys na budynek dworca kosmicznego.

Marmurowy pięknis wyparował. W blasku słońca na jego miejscu znów pojawiła się ich rakieta.

— Biegniemy! — krzyknął Borys do Grigorija. — Szybciej! — I zrobił w stronę rakiety dwa lub trzy duże kroki. Natychmiast jednak zatrzymał się: — Przepadnij!

— krzyknął na wielopiętrowy dom. Ten zachwiał się i zniknął.

— Ech ty! — krzyknął wesoło Borys. A do Grigorija: — Dłuższy krok! W pobliżu rakiety odwrócił się i unicestwił wszystkie statki majaczące na horyzoncie.

Pozostawił tylko aleję z topolą i bez celu krążące po łące sobowtóry.

— Wjazd! — rozkazał łapiąc za drzwi windy.

Grigorij dosłownie w ostatniej chwili pochylił się i podniósł

## **jedyny zerwany przez nich kwiatek.**

— Do diabła! — powiedział Borys włączając motory. — Ani minuty więcej, bo w przeciwnym razie te gołąbki wleżą nam do rakiety. I gdzie ich wtedy pomieścimy?—Widać było, że w znajomym otoczeniu na powrót odzyskuje humor:

— Start!

— Ale mimo wszystko co z nimi będzie?— zapytał Grigorij.

— Niech zostaną. Na pamiątkę.

— A topola?

— Topola również.

Ale kiedy po godzinie kosmonauci jeszcze raz, tym razem ostatni, przelatywali nad znajomym im miejscem, w dole nie było już ani alei, ani sobowtórów—jak okiem sięgnąć tylko pusta błękitna łąka.

— Jeszcze jedna zagadka planety... — powiedział Grisza.

— Niech inni ją rozszyfrowują — odburknął Borys. — Ja nie...

Ale kiedy wyspał się. poczuł, że sam nie poradzi sobie z tymi wszystkimi pytaniami, które cisnęły się na usta. Wachta wlokła się niemiłosiernie, a pytań nie tylko że nie ubywało, ale wprost przeciwnie — przybywało. Widząc, że Grigorij nie śpi, zapukał

w drzwi kabiny... Grigorij leżał na tapczanie i choć powinien pisać raport

dotyczący wydarzeń na Albarossie, to jednak tego nie robił — myślał.

— Grisza — zapytał Borys rozumiejąc, że moment jest odpowiedni do rozpoczęcia rozmowy — jak długo przebywaliśmy na tej planecie? Grigorij odpowiedział wzruszeniem ramion nie bardzo pojmując, o co Borysowi chodzi.

— Mam tu obliczenia kontynuował Borys.—Zresztą bardzo proste: osiem godzin obrotu, a na planecie dwie doby po szesnaście godzin. Ile ra/em?

— Czterdzieści — odpowiedział Grigorij.

— A ile mieliśmy czasu na zbadanie planety?

— Czterdzieści godzin...

— Oceń sam przypadek czy też nie?...

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytał Grigorij.

— Ktoś na planecie doskonale wiedział, ile mamy czasu. Grigorij milczał. Borys przycupnął na skraju tapczanu.

— Pamiętasz, jak mówiliśmy o egzaminie?

— Pamiętam.

— Teraz też tak uważasz?

— Możliwe...

— Co znaczy „możliwe”? Odpowiadaj jasno.

— Cały czas o tym myślę.

— No i do czego doszedłeś?

— Dziwne rzeczy przychodzą człowiekowi do głowy. Borys cierpliwie czekał.

— Wszystko to, co tam stworzyliśmy — innego słowa chyba nie znajdę — dworzec kosmiczny, teatr — mówił Grigorij — zostało stworzone siłą myśli. I tylko myśli mogły to zniszczyć.

— Nie domyśliliśmy się tego...

— Nie domyśliliśmy, Borys.

— Trzeba było niszczyć kamienie już w momencie ich pojawienia się.

— Masz rację, trzeba było.

— A my pchaliśmy się na ściany.

— Kiedy spojrzeć na to z boku, to zachowywaliśmy się jak barbarzyńcy.

— Takie też zostawiliśmy po sobie wrażenie...

— Wrażenie nie jest znów takie ważne.

Borys milczał, bo wstyd mu było incydentu z pulsatorem.

Żeby skierować rozmowę na inne tory, zapytał szybko:

— A sobowtóry? Czemu było ich tak dużo.

— Ktoś chciał nas lepiej poznać...

Borys nie zgadzał się z tym przypuszczeniem, ale własnej teorii nie miał.

— Myślisz, że wypadliśmy źle?

— Trzeba będzie jeszcze raz spędzić trochę czasu na

**planecie.**

**„Beze mnie...” — chciał powiedzieć Borys, ale dał w końcu za wygraną: — Trzeba o tym pomyśleć.**

**Grigorij podniósł się z poduszki.**

**— Zgaś światło.**

**Borys wykonał polecenie. Kiedy oczy nieco przywykły do ciemności, na stoliku, gdzie leżał błękitny kwiatek, zobaczył słabo świecącą plamkę.**

**— Co to takiego?— zapytał.**

**— Powoli — odpowiedział towarzysz.**

**Po minucie Borys zaczął rozróżniać nad kwiatkiem**

**kolorowy wianuszek, a nad nim kulę wielkości średniego**

**jabłka.**

**— Zobaczyłem to dziś — powiedział Grigorij. — Jak wiesz, kwiatek cały czas leżał w szafie. Kula nad kwiatkiem obracała się.**

**— Albarossa! — wykrzyknął Borys. — Mówisz o niej jak o czymś żywym.**

**— Może cała planeta jest żywa...**

**Borys nie oponował, gdyż wiedział, że Grigorij mówi serio.**

**Może to cyborg — kontynuował towarzysz. — Retranslator na kosmicznej trasie,**

**którą przypadkowo przecinamy. Sobowtóry, które tworzył, chyba są drogą do**

**rozwiązania zagadki. Pamiętasz, że przy translacji meczów piłki nożnej dublowane**

**są ciekawsze momenty? Żeby widz mógł je zobaczyć jak najlepiej? Tak też było**

**właśnie na Albarossie. Ale komu retranslator pokazywał nas nieskończoną ilość**

**razy? Tak, Albarossa to nie jedyna zagadka. Borys. Jej gospodarze są w innym**

**miejscu. Może spotkanie z nami było dla nich niespodzianką? Może gospodarze są**

**tak daleko, że nie mogli wejść w natychmiastowy kontakt z nami? Wszystko jest tak skomplikowane... Konieczna jest druga ekspedycja na Albarossę.**

**Kula unosząca się ponad kwiatkiem nadal wirowała. Po kilku dniach zmniejszyła się do rozmiarów śliwki, potem**

**wiśni, ziarna grochu, by wreszcie zniknąć. Jednocześnie umarł kwiatek —**

**przekształcił się w garstkę szarego popiołu. Grigorij zebrał popiół i schował go w szafie. — Konieczna jest druga ekspedycja na Albarossę — powtórzył. — Będę**

**nalegać! — I zwracając się do Borysa zapytał: — Polecisz ze mną?...**